

N.K. X/328.-
30

PAN z PANÓW

SCENY z ŻYCIA NASZEGO

WYDAWNICTWA KSIĘGARNI
GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA

	złr.	ct.
Dr. Antoni J. Trzy opowiadania historyczne, 1 tom . . .	2	—
— Opowiadania historyczne, 1 tom . . .	3	—
1.) Pod Półksiężycem. 2.) książę Sarmacy. 3.) Odwiedziny mouarsze. 4.) Na kresach. 5.) Dwór Tulczyński. 6.) Losy pięknej kobiety. 7.) Tynna w końcu XVIII. wieku.		
— Nowe opowiadania historyczne . . .	3	—
1.) Pod krzyżem. 2.) Losy kresowego miasteczka. 3.) Wartahiet. 4.) Zemsta kozacza. 5) Porwanie króla. 6) Niesieszcie legiony.		
— Gawędy z przeszłości, 2 tomy . . .	5	60
BIBLIOTEKA POLSKA: Każdy tom broszurowany		
1 złr. 80 ct., w oprawie . . .	2	30
I. II. Krasński Z. Pisma. Wydanie z przedmową Stan. hr. Tarnowskiego, 2 tomy. — III. — VI. Mickiewicz Adam. Dzieła. Wydanie zupełne przez dzieci autora dokonane, 4 tomy. — VII. — X. Zaleski, B. Poezje. Wydanie przejrane przez au- tora. — XI. Pamiętniki Polska. Wydanie nowe krytyczne, przejrzane przez Dra Węclewskiego. — XII. Niemcewicz, J. Jan z Tęczyna. Powieść histor. — XIII. XVI. Słowacki, Juliusz. Dzieła. Wyd. przejr. przez prof. dra. A. Małeckiego. — XVII. XIX. El...y, (Asnyk Adam.) Poezje, 3 tomy. XX. — XXII. Małeck, A. Życie i pisma Juliusza Słowackiego, wy- danie drugie znacznie pomnożone, 3 tomy. — XXIII. J. Wę- blecki, Pamiętniki. — XXIV. XXV. Mickiewicz. Dzieła. V. VI.		
Bolesławita, B. Hybrydy, powieść współczesna . . .	2	40
— Król i Bondarywna, powieść historyczna . . .	2	40
— Pamiętnik panicza — Dziennik Serafina . . .	2	40
— Nad modrym Dunajem, Nowella . . .	2	40
Chłędowski, J. Sylwetki społeczne . . .	2	40
Jeż. T. T. Ostatek. Ustęp z przeszłości emigracyjnej . . .	2	40
Kaczkowski, Karol. Wspomnienia 1808—1831 z pa- pierów pozostałych po ś. p. K. K. gen. szt. lekar- zu wojsk polskich, ułożył T. O. Orzechowski, 2 t.	4	20
Kantecki, K. Elżbieta, trzecia żona Jagiełły . . .	1	20
— Z podróży Oświęcima . . .	1	80
— Dwaj Krzemieńczanie. Wizerunki literackie, 2 tom.	3	60
Kubala, L. Dr. Szkice historyczne. Dwie serye każda . . .	3	40
Lemcke, K. Estetyka, 2 tomy . . .	6	—
Liske, X. Cudzoziemcy w Polsce. Podróże i Pamiętniki.	4	20
Listy Tadeusza Kościuszki, zebrane, wstępem objaśnione przez L. Siemieńskiego . . .	2	80
Listy Juliusza Słowackiego 1830—1848, 2 tomy . . .	5	—
Monumenta Poloniae historica. Pomniki dziejowe Polski, tom. III. opracowane przez lwowskie gro- no człon. komisji histor. tejże Akademiji . . .	12	—
Niewiarowicz, A. L. Wspomnienie o A. Mickiewiczu.	2	20
Pamiętnik damy polskiej z XVIII. wieku . . .	1	80
Stadnicki, K. Olgierd i Kiejstut synowie Gedymina, W. ks. Litwy . . .	2	40
Wilkońska, P. Na Teraz. Powieść . . .	2	40
Wspomnienia Konstantego Wolickiego, z czasów po- bytu w cytadeli warszawskiej i na Syberji . . .	2	60
Zakrzewski W. Powstanie i wzrost reform. w Polsce	2	40
Zwierciadło głupstwa. Powieść, napisał Ignotus . . .	3	20

J. I. KRASZEWSKI

PAN z PANÓW

SCENY

Z ŻYCIA NASZEGO

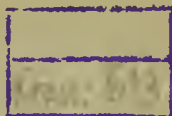


L W Ó W

NAKŁADEM KSIĘGARNI

GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA

1881



Z Drukarni K. Pillera

SORDESCUNT DIVI.

Arnobius.

W ganku dworu starego, otoczonego wyniosłymi lipami, przed którym trawnik zielony szeroko się rozlegał — na ławce, z robótką w ręku, którą złożyła na kolanach, zamyśliwszy się — siedziała nie młoda pani.

Odblask słońca zachodzącego oświecał łagodnie twarz jej pięknych niegdyś rysów, dziś zwiędłą, zbladłą, ale wyrazu łagodnego, który, choć smutnym był, mówił o tem, że w duszy chrześcijańska rezygnacya błogi pokój przyniosła.

Z rękami założonemi patrzyła ku drodze, która wiodła ku dworowi, wysadzana brzozaami, wierzbami i topolami na przemiany.

Dwór i co go otaczało miało ten wyraz dostatku, który ład i praca daje. Nic tu pańskiego nie było, nic wielką znamionującego zamożność —

ale wszędzie widniał porządek i ten dobry smak, który nie potrzebuje środków zbytkowych, aby się objawić.

Nieznajomy, przybywając, musiał czuć że w kątku tym błogo było mieszkańcom i że oni czuli to i cenili. Z zamięłowaniem pielęgnowane było wszystko, od najpospolitszego drzewka do kwiatków, co dom otaczały. Żyły one rażno i bujnie.

Dwór nie piękny, ale wzniesiony niegdyś ze staraniem o trwałość, krzepko się trzymał, choć wysoki dach jego i charakter całej budowy dość go już starym czyniły. Zieloność, kwiaty, niezmierzna czystość zdobiły go i czyniły miłym.

Stał między dziedzińcem a ogrodem, połączeniemi z sobą; oboje śliczne drzewa rozrosłe o sze-roko rozpostartych konarach zdobiły. Po za niemi kryły się nowsze, równie trwałe a z prosta wzniesione budynki folwarczne i gospodarskie.

Nie widać było między niemi żadnych wymuszonych przyczółków gotyckich i pseudo - klasycznych, które niesmaczna pretensya czepia często do obór i stajen, aby się świątyniami wydawały. Wszystko tu wyglądało trochę ze staroświecka, lecz wyidealizowane starannością wykonania i utrzymania.

Wieczór późnego lata był prześliczny. W powietrzu czuć było jesień nadchodzącą, woń pól żętych, ostatnich łąk pokoszonych i jakby dojrzewających owoców. Każda bo roku pora ma swój

właściwy zapach i powietrze, począwszy od pierwocin wiosennych do zamrozków, oznajmujących zimę.

A jesienne wyziewy mogą niemal walczyć z wiosennemi, choć zupełnie innego są rodzaju.

Siedząca w ganku, wpatrzona w dal kobieta zdawała się używać w pełni ciszy i blasków tego wieczora letniego, uspokojonego jak wiek, którego dożyła.

Usta jej były jakby do uśmiechu złożone; na siwych przedwcześnie, gładko przyczesanych włosach odbijał się złoty promyk zachodu i dawał im blask jakiegó aureoli.

Skromna suknia czarna osłaniała postać, której wiek nie przygiął, lata nie przekształciły. Zachowała ona dawną siłę swą i pewien wdzięk linii szlachetnych. Jak twarz tak wszystko w tej pani wybraną istotę znamionowało. Była to owa matrona a matka rodu, jakich tyle widzimy w dziejach familij naszych; miała powagę niemal starej matki Rzymianki i jej surowość niewzruszoną.

Coś patrycyuszowskiego uderzało w niej pomimo skromnego ubrania, otoczenia nie pańskiego, w jakim się znajdowała, i tej wiejskiej, szlacheckiej zagrody, na której ławie odpoczywała.

Panią w niej widać było — panią duchem wielkim, siłą woli i cnotą — tylko nieposzlakowany żywot i czyste sumienie mają taką powagę,

takie czoła jasne, takie oczy śmiało patrzące w świat.

Wśród zadumy, wśród ciszy, ledwie dosłyszany tentent kłusującego konia obudził ją, spojrzała ku drodze i uśmiechnęła się, pomiędzy drzewy widząc przemykającego jeźdźca, który ku dworowi pospieszał.

Na dosyć pięknym miernego wzrostu szpaku, który jak wszystkie polskie konie, miał w sobie coś charakteru wschodniego, — ubrany w szarą z zielonem sukmankę, jechał dorodny młodzieniec. łatwo i zręcznie wiodący konia...

Nie był to wcale idealnej piękności bohater powieściowy, ale zdrowy, ogorzały, silnie zbudowany, męskiego oblicza człowiek, lat około trzydziestu. Twarz miał bardziej charakterystyczną niż zbyt klasycznych i regularnych rysów — oczy piwne, rozumne, bystre, usta nadające fizygnomii wyraz energiczny, czoło dosyć wyniosłe, myślące. Nie w nim wytwornisia i salonowego młodzieńca nie dozwalało się domyślać, chociaż i ta twarz niemal pospolita, postawa i ruchy pełne były wrodzonej jakiejś szlachetności i wdzięku.

Zdała wjeżdżając w dziedziniec, pozdrowił siedzącą w ganku, zawrócił w bok do stajni, zeskończył z konia i spieszным krokiem, bijąc się szpicrutą po długich butach, zbliżył do ganku.

Pocałowanie w rękę, na które odpowiedziano pocałunkiem w głowę, kazało się matki i syna domyślać.

Siadł zaraz na ławce przy niej i zdjawszy czapeczkę, otarł czoło uznojone.

— Gdzieżeś ty był? — spytała go miłym głosem zwracając się doń kobieta.

— A, niech się mama spyta, gdzie nie byłem — odpowiedział wesoło przybyły. — Obleciałem prawie całą Rudę i kawałek Rudki... Wiele robót chciałem obejrzeć, w wielu miejscach choćby pokazać się dla tego, aby widziano, że ich nie zaniedbuję. Wszędzie się coś znajdzie do poprawienia i dozorowania. Ludzie są ludźmi, nie wielu z nich sumienie starczy za pańskie oko...

— Ale bo ty z tą twoją gorliwością — rzekła matka — trochę przesadzoną, zamęczasz się, mój Guciu. Gospodarstwo idzie dobrze...

— Właśnie dla tego, że ja go z oka nie spuszczam — mówił Gucio. — Mnie to nie męczy, owszem zajmuje...

— Mógłbyś więcej książką się zająć, ogrodem a i mnie tak samej nie rzucać — czule odezwała się matka.

Za całą odpowiedź Gucio w rękę ją pocałował. Matka ciągnęła dalej:

— Mój Boże! mój Boże! aż mi się serce ścisła, gdy pomyślę, że ty, ty — senatorskie dziecko, potomek hetmanów i pan z panów, na tych

mizernych trzech folwarczках prowadzić musisz życie tak skromne.

— Kochana mamó! — wesoło rzekł Gucio — mnie to bynajmniej nie trapi! Majątku nie straciśmy marnotrawstwem, poszedł on w ciężkich czasach na ofiarę — wstydzic się nie mamy czego. Niedostatku nie mamy a powróciliśmy do tego stanu, z którego przed wieki praca i zasługi dziadów nas wprowadziły.

— Zwykła to kolej rzeczy ludzkich, iż jedne rodziny wznoszą się, drugie upadają.

— A ja — dodał ochoczo — ręczę mamie, że, gdy pogospodaruję a Pan Bóg dopomoże, z tych folwarczkwó trzech, zrobię pięć i sześć.

Matka zadumana patrzyła na ławkę.

— Szkoda ciebie na taką robotę! — rzekła. — A! szkoda! Masz i umysł i serce godne szerszego pola do pracy!

Bóg mi dozwolił wychować cię tak, jakbyś daleko, daleko wyższe miał zająć stanowisko!

Westchnęła. Syn jakby czuł, że potrzebowała pociechy, począł tonem wesołym:

— A! mateczko kochana! Ja na te wielkości ludzkie innem patrzę okiem, nie mam do nich smaku. Znajduję stanowisko moje zupełnie odpowiedniem moim zdolnościom i wychowaniu. Doskonale mi jest! Nie pragnę więcej.

Stanowisko w świecie wymaga ofiar, tu ja jestem swobodny zupełnie... no — i — szczęśliwy!!

Matka oczy na niego podniosła, uśmiech łagodny. przebiegł po jej ustach.

— Ale — czyż szczęśliwy ??

Drżący jej głos wyrażał pewną wątpliwość.

— A! mogę powiedzieć, że zupełnie szczęśliwy!

Podniesioną z lekka ręką matka zakresliła krzyżyk w powietrzu i odetchnęła wolniej.

Na ganek wchodziła właśnie w tej chwili jejmość, tegoż wieku co pani domu lub mało co starsza, ale twarzy i wyrazu całkiem różnego. — Była to kobieta otyła dosyć, ospowata nieco, rysów pospolitych, dobroduszością jakąś odznaczających się. Uśmiech na ustach zdawał się do nich przyrosły, oczki też zmrużone ciągle były niby uśmiechnięte.

Pęk kluczków w ręku był godłem obowiązków, jakie tu sprawić musiała, lecz swoboda, z jaką weszła i przybliżyła się do pani domu — mówiła razem o serdeczniejszym, poufalszym stosunku...

Wpatrując się w tę twarz wesołą, nie nawykłą do dźwigania troski na sobie, dostrzedz było można, iż coś nadzwyczajnego zwykły jej pokój nadwreżyło. Nie był to żaden smutek i strapienie — lecz niby trwoga i poruszenie, które pani Bogucka usiłowała, jak umiała, ukrywać. — Uśmiechała się jeszcze wyraziściej niż zwykle; lecz zakłopotanie znać było w ruchach. Poprawiała gorączkowo ezepek, suknię i pasek, klucze obracała niecierpliwie w ręku.

Jedno spojrzenie na nią zdradziło pani domu ten stan nienormalny.

— Ale cóż to ci, Bogusiu moja? — z uśmiechem spytała pani — jesteś poruszona? Czy ulubione kanarki! czy gołębie! czy ten twój kogut złotopióry doznał jakiego szwanku?...

— A! nie! nie! — szybko odpowiedziała, przysiadając się na ławce Bogucka. — Niech pani wierzy, nic mi nie jest! nic a nic!... Zmęczyłam się trochę!

Pani zmierzyła ją wzrokiem i pokręciła głową.

— Już ty mi nie mów, ja cię znam! — odpowiedziała po cichu.

Bogucka i ramionami wzruszyła i głowę potrząsała, nie mogąc jednak otrząsnąć z siebie tego wyrazu, jaki z sobą przyniosła.

Chcąc zagadać i uwagę odwrócić od siebie, wtrąciła:

— Ale jakież dziś wieczór śliczny!

Pan August potwierdził to i dodał, że w lesie i na łąkach woń była prawie wiosenna.

Nie znaleziono już mówić o czem, ale pani domu z ukosa przypatrywała się ciągle swej pomocnicy.

Ta zdawała się namyślać nad czemś, przygotowywać do czegoś, czekać jakby na coś.

Wzrok jej na bocznej drożynie, która prowadziła do wsi, gdzie z między drzew widać było

wieżyczkę kościółka wiejskiego, błdził ciągle niespokojny.

— Kazałaś dawać herbatę? — zapytała gospodyni.

— Jak tylko hrabia August powrócił, zaczęto nakrywać — szybko odezwała się Bogucka.

Gdy to mówiła, lica jej się rozjaśniły, na drożynie od wioski ukazała się ciemna postać człowieka, przybliżającego się ku dworowi.

Na tle jaśniejszego nieba rysowała się sylwetka, dająca rozpoznać nieco pochylonego mężczyznę w kapeluszu z szerokimi skrzydłami i laską w ręku.

— Zdaje mi się, że ksiądz proboszcz idzie! — odezwała się Bogucka.

Pan August spojrzał.

— Ale cóż pocziwego naszego kanonika mogło o tej porze sprowadzić? — zapytała pani. — To nie jego godzina. Zwykle przychodzi wcześniej, a to właśnie pora jego pacierzy.

— Wieczór tak piękny! — odezwała się Bogucka.

Kanonik zbliżał się, widać go już było, gdy z po za drzew ocieniających go wystąpił, — był to staruszek żwawy, przygarbiony nieco, twarzy rumianej, z włosami siwymi...

Zdała zdjawszy kapelusz, witał nim i rękami kolatorów.

August wyszedł naprzeciw niego.

— Księdza kanonika dobrodzieja — zawołał — czekamy z herbatą!

— Ja już po wieczerzy! ze staroświecka mój krupniczek zjadłem o zachodzie słońca — odezwał się miłym głosem kanonik.

Tem bardziej zagadkowemi stały się te odwiedziny dla hrabinej matki, która wstała też, podchodząc do wschodów, na które staruszek wstępował... Był poruszony, może nieco szybkim chodem zmęczony, a że wieczór dość był ciepły, siadłszy, musiał trochę odetchnąć.

Oczyma potoczył — i odezwał się głosem, w którym drgało wewnętrzne wzruszenie.

— Mieli państwo co z poczty? są jakie nowe wiadomości...

— Dziś ani poczty, ani wieści żadnych nowych nie mieliśmy — poczęła pani domu, trochę zaciekawiona. — A ksiądz kanonik?

Zapytanie to zmieszało staruszką.

— Ja też nie wiem nowego tak dalece nie — rzekł z cicha — nie... był tylko u mnie Pańkowski, ten obieżyświat, co ma zawsze torbę płotek pełną. Ten mi tam różnych andronów nagadał.

Patrzano na księdza z ciekawością, ale ten urwał nagle.

Przenikliwa pani domu zaczęła podejrzewać kanonika, iż coś wiedział, co się bliżej ich tyczyć mogło, nie umiając domyślić, coby to było.

Hrabina i jej syn, choć krwią i mieniem do całego arystokratycznego świata należeli i mogliby byli mieć stosunki rozległe, ani ich szukali, ni się ich starali utrzymać. Rzadko bardzo odwiedzał ich ktoś z powinowatych i krewnych.

— Ciekawego co przywiózł kanonikowi Pańkowski? — zapytała hrabina.

— Androny! androny! — zamruczał staruszek.

Chwilkę się zawahał, Bogucka zdala zdawała mu się dawać jakieś znaki, które wprzód dostrzegł hr. August, niż staruszek. Zdumiało go to mocno. Kanonik nie polityk, widocznie coś przyniósł, z czemś przyszedł, czego zręcznie powiedzieć nie umiał.

Czoło staruszka oblewalo się potem rzęsim, który chustką ogromną, kraciastą ocierał i wzdychał.

Przygotowanie niezręczne żywą obudziło ciekawość i niepokój w hrabinie i jej synu.

— Gdyby to, co mi plótł ten Pańkowski, prawdą być miało — odezwał się stary — juściżbyście państwo o tem wiedzieli pierwsi.

Matka i syn spojrzeli po sobie.

— Już to w ogóle — odparła hrabina spokojnie — my księżę kanoniku i nie bardzo nowin jesteśmy ciekawi — i nie zbyt obficie nas one dochodzą!

— Ja to wiem... wiem, rzekł staruszek, ale...

Tu zawahał się trochę i, jakby pozbywając ciężaru, dokończył:

— Bo to się państwa tyczy!

Uśmiech wyrazom towarzyszący dowodził, że bądź co bądź w tej wiadomości nic złego tkwić nie mogło.

Hr. August wstał wzruszony nieco.

— Cóż to może być? — zapytał wzruszony — nas? nas się tyczącego?...

— A, tak! — rzekł prawie wesoło proboszcz. — Tylko to oczywiście bajka, bo jużbyście państwo byli zawiadomieni.

— Ale o czymże? o czym? — zawołała hrabina.

Pot lał się z czoła kanonikowi obficie jeszcze, usta się skrzywiły i uśmiechały a wiadomości, z którą przybył, wykrztusić nie mógł. Bogucka palce sobie wylamywała, bo jawnie i oczywiście była w spisku z kanonikiem, rachowała na jego takt i doświadczenie a zgorzoną była niezręcznością, z jaką posłannictwo swoje spełniał...

— Plotka! oczywiście plotka! — zamruczał staruszek. — Mówią, że hrabia Franciszek Ksawery umarł!!

Hrabina krzyknęła bijąc w dłonie: August rzucił się niemal oburzony tonem wesołym, z jakim kanonik to powiedział.

Hrabia Franciszek Ksawery, rodzony stryj Augusta, był panem majoratu a raczej ordynacji i osobistej fortuny ogromnej, która w razie bez-

dziatności jego miała spaść na tę linią. które August był głową.

Człowiek był w sile wieku, wdowiec bezdzietny i właśnie zaręczył się niedawno z bogatą dziedziczką jakiegoś szląskiego magnata.

Wiadomość ta przychodziła jak piorun, niespodziewana, do prawdy niepodobna.

— To nie może być! — zawołała hrabina. której twarz okrył rumieniec a potem błądźć nągła, a hrabia August dodał:

— Niech Bóg nas od tego uchowa!

Słowa te były wyrzeczone z tak głębokim przekonaniem, z taką prawdą i uczuciem, iż kanonik osłupiał.

— Tak! — powtórzył August — niech Bóg nas uchowa od tego nieszczęścia! Stryj Franciszek był rodzinie potrzebny, reprezentował ją godnie, byłaby to strata niepowetowana.

— Ale ordynacya spadłaby na pana hrabiego! nieśmiało szepnął kanonik.

— Właśnie od tego niech mnie Bóg uchowa! — gorąco odezwał się August. — Możecie mi wierzyć, księżę kanoniku, iż mówię wam, co czuję (tu spojrział na matkę). Nieby mi większej przykrości i boleści sprawić nie mogło nad tę wiadomość, gdyby prawdziwą być miała! Boże uchowaj! Boże ustrzeż! — powtarzał August.

Matka patrzyła nań zdumiona i drżąca, z wyrazem, w którym i ból się i radość mieszała.

Wtem Bogucka, coraz bardziej drżąca i dająca oznaki niepokoju rosnące z każdą chwilą, wystąpiła gwałtownie naprzód.

— Otóż... otóż — po co to już próżno w bawełnę obwijać... otóż... ja już muszę powiedzieć całą prawdę. Bo to darmo! bo te tajemnice na nic się zdały... Posłaniec z listami i z tą wiadomością z Zalesia już od trzech godzin tu jest... a ja go zamknęłam... bo — bo myślałam — że jużci państwo do tego przygotować trzeba!

Bo to — prawda! Święta prawda! Umarł! umarł! I tam już na ordynacyi na naszego hrabiego czekają... Słowo daję!

Słyszając to hrabina matka, zbladła bardziej jeszcze a Bogucka przygotowaną wcześniej poddała jej wódkę kolońską. Hrabia August stał jak wryty, osłupiony, zdretniały, i, gdyby go największe spotkało nieszczęście, nie okazałby się mocniej i smutniej wzruszonym.

Ręce mu się załamały, głowę spuścił, milczał.

Kanonik szeptał niepewnym głosem...

— Wola opatrności! Wyroki Boże... Zrzęczenie Najwyższego! Niech się państwo uspokoją...

Zostawiwszy flakonik z wódką kolońską w ręku hrabinej, Bogucka wybiegła... Wkrótce po tem ukazała się z powrotem we drzwiach, cała drżąca, list trzymając w ręku, i ciągnąc za sobą człowieka, który siedł z twarzą dziwnie ułożoną,

bo nie wiedział sam, czy smutnym się miał czy wesołym okazać.

Ale listu nie było komu odebrać, ani człowieka badać, bo hrabina matka i syn pogrążeni byli jeszcze w tem niemem osłupieniu, w jakie ich ta piorunowa wiadomość wprowadziła.

Nie rychło podniosłszy oczy August zobaczył stojącego posłańca dworskiego, który przyszedł go w rękę pocałować a hrabinie do kolan się skłonił.

— Kiedyż się to stało? słabym głosem odezwał się hr. August.

— Pozawczoraj wieczór, proszę jaśnie pana — wybąknął posłaniec. Nieboszczyk jaśnie pan powrócił z miasta i coś mu się zrobiło niedobrze. Doktor Winter chciał zaraz krew puścić, ale jaśnie pan nie dał. Aż tu po wieczerzy ruszyło go... i gdy Wintera ściągnęli a chciał krwi dobyć, już ani raz nie ciekła... Co robili... co wymyślali, nie było sposobu... Szlag taki, że Jezus, Marya nawet nie miał czasu powiedzieć!

Rozpłakał się trochę opowiadający, wszyscy milczeli.

— Pana rządcy Pawlickiego tylko co nie wiadać, bo miał jechać zaraz za mną...

Hr. August dał znak ręką, aby odszedł. Milczenie głucho panowało długo w ganku, przerywane tylko proboszczowskiem.

— Wola Boża!

W małej salce jadalnej najpierwszej restauracyi miasta, urządzonej z wielkim przepychem osobliwego smaku, zdawna już nie zebrało się towarzystwo dystyngowańsze nad to, które tu jednego dnia jesieni roku 187... po obiedzie wypoczywało. Chociaż znajdujący się tu panowie pomiędzy sobą nie używali przysługujących im tytułów, wiedziała służba cała, że nie było pomiędzy nimi ani jednego, który by nie miał co najmniej prawa do tytułu choćby barona, jak każdy szlachcic polski. Większość należała o jeden stopień wyżej do dziewięciopierłowych a na okrasę znajdowała się jedna mitra świętego państwa rzymskiego.

Być może, iż stan hipoteczny tych znakomitości prowincyi nie zupełnie odpowiadał świetności imion, lecz zaręczyć możemy, iż wszystkich ekwipaże, konie i służba nie robiła im wstydu.

Salon też, w którym po obiedzie paląc cygara spoczywali porozkładani na sofie i krzesłach w postawach jak najdogodniejszych trawieniu, świadczył, że się nie skompromitowali lada parafrąskim jadłem.

Na stoliku kredensowym, począwszy od skorp wczesnych ostryg do wypróżnionych flaszek najlepszych firm i najsłynniejszych lat, wszystkie resztki dowodziły, iż obiad zadysponować umiano prawidłowie i spożyć go sumiennie.

A jednak nie było to żadne uroczyste przyjęcie ani głośniego imienia ani wielkiej zasługi, ani żadne imieniny, ni obchód wygranego zakładu, ani oblewanie niedoszłego pojedynku, ale wprost sobie przyjacielski obiadek z pogadanką.

Wszyscy ci panowie, których tu szczęśliwy traf sprowadził, liczyli się do mieszkańców wsi, mieli swoje rezydencje, pełnili honorowe funkcje wiejskich gospodarzy.

Mówię honorowe, gdyż wszyscy o gospodarstwach swych mówić umieli doskonale, chwalili się niemi chętnie, lecz żeby który z nich istotnie gospodarzem był, o to nikt ich nie posądzał.

Wszyscy byli nawykli do tego łatwego życia naszego, pozostałego z dawnych czasów, składającego się z przeróżnego zabijania czasu i trącenia pieniędzy. Kiedy niekiedy patryotyczna ofiara dziesiątej części tego, co się w kilka miesięcy w karty przegrywa, przyjęcie jakiej prezydencji lub członkostwa w Komitecie, starczyło na utrzymanie reputacji obywatelstwa i ofiarności.

W ciągu roku i tak było dosyć do czynienia, poczynawszy od mozolnego i kosztownego karnawału do wycieczki na jakieś morskie wybrzeże, wyścigi itp.

W tych żywotach pańskich a próżniaczych kilka błyskotek zasłaniało czerzość i próżnię. Podpierano czasem kościół, walczone przeciw szerzącemu się radykalizmowi, możnaż było więcej wymagać?

Każdy, któremu zdawało się, że wziął na barki te dwa wielkie zadania społeczne — mógł i miał prawo od innych obowiązków się uwalniać. Bezkarne sobie też pozwalał więcej niż inni, wiedząc, że mu to przebaczonem być musi. Było nawet wcale dobrą rachubą zapisać się w szeregi konserwatyzmu, aby mieć ustaloną sławę, której nie nadweryżyć nie mogło. Bez powszednich cnót o które inni starać się musieli, ażeby być znoszonymi w towarzystwie porządných ludzi — oni wyśmienicie się obyć mogli. Należeli do obozu, który bronić ich musiał, choćby wybryk jaki popełnili.

Z twarzy i postaci gości znajdujących się w salonie znać było, iż na obranem stanowisku żyło się nie źle.

Wszystkie te oblicza, gdyby nie widoczne na nich znużenie, gdyby nie ślady wczesnego przeżycia się — ślicznie były pozaokrągłane, rumiane, zdrowe, promieniejące błogim spokojem.

Żadna myśl głębsza, żadna troska zjadliwa, żadne uczucie gorętsze nie porało im wyłysiałych, pięknych czoł, nie ćmiło wejrzeń, nie odjęło ustom uśmiechu pełnego uprzejmości.

Twarze to były piękne rysów szlachetnych a tak pocziwie bezmyślne jak niektóre greckie posągi. Towarzyszyły im też jak w tych posągach postawy nader kształtne, atletyczne budowy ciała, rycerskie ramiona i prawdziwie arystokratycznie

zarysowane ręce białe, nóżki, jakichby im niemieckie panie mogły pozazdrościć.

Starą krew widać było w tych bladych odbiciach postaci dziadów i pradziadów, którzy, z szablami przebiegając Europę, sławili się jako ostatni paladynowie z meztwa i czci rycerskiej.

Na każdego z nich jeszcze było można włożyć starą zbroję z pod Wiednia — i przystałaby do szerokiej piersi, — lecz ta pierś osłabła i znudzona. nosićby jej nie potrafiła.

Pierwszy z nich — hrabia Zenio (dajemy im poufałe imiona, jakich między sobą używali) leżący na kanapie z nogami wyciągniętymi na krzesła, palący z takim wdziękiem doskonale cygaro hawanskie, pomimo lat czterdziestu i kilku miał powierzchowność młodą jeszcze, spojrzenie zalotnicy, w ruchach coś miękkiego, kociego, jakby się chciał wśliznąć, nie potrącając nikogo. Twarz jego z oczyma niebieskimi, oprawnemi cudownie była prześliczna a — nie a nie nie mówiąca, oprócz że na świecie dobrze mu było i że pragnął się na tem błogiem stanowisku utrzymać.

Niegdyś pan ogromnego majątku, pomnożonego niemniej znacznym żony posagiem, hrabia Zenio trzymał się jeszcze, choć mocno zadłużony na dawnej stopie, ale już do koła niego cuchnęło nadchodzącą ruiną.

Był to jeden z tych koryfenszów prowincjonalnych, bez których się nic nie robi, którzy do

wszystkiego służyć, którymi się radzi wszyscy posługują — a oni — nie troszczą się o nic.

Takiego wielkiego męża o mały dług zaczepić, któżby się ważył? Przytem hr. Zenio był dobry, bardzo dobry, pobłażający — a miał zasady zachowawcze głęboko wpojone, którym się nie sprzeniewierzał nigdy. Szedł za wskazówkami danemi z góry, za co w górze był ceniony, a i to coś też warte było, że sobą zajmował miejsca, któreby ktoś inny, niewygodny, mógł sobie przypisać.

Kochali go więc prawie wszyscy, ale pomimo to samoistnej powagi nie miał — wiadano, że jest dogodnem narzędziem.

Przy nim cały na kanapie, z nogami na poręczu po amerykańsku, spoczywał typ wcale różny. Brunet szpakowaty, słusznego wzrostu, atletycznej postawy, w którym poznać było łatwo sportsmana.

Ten był bardzo dobrego szlacheckiego, starego rodu a tytułu hrabiego używał tylko za granicą — na biletach zaś wizytowych perły rysować kazał — lecz hrabstwo przemileczał. Konie i psy były jego namiętnością, karty wytechnieniem po pracy na łowach i biegach. Zwano go Toni.

Sekundantem w pojedynkach bywał chętnie. Mówił kilku językami doskonale a czytywał najczęściej francuskie romanse i gazety. Na wyżywienie ducha całkowicie mu to starczyło.

Majątek miał zadłużony, lecz cudem jakimś opędzał się wierzycielom.

Co do zasad, otwarcie Toni należał do obozu zachowawczego, liczył się don, stawał z nim, nie sprzeniewierzył mu się jawnie, jednakże miał pewne słabostki.

Z ludźmi zasad zupełnie przeciwnych, gdy szło o karty, o konie i psy, gotów był nie tylko przestawac — ale prawie się kumac.

Rzucało to cień na niego.

Mówił i kłaniał się takim, od których inni uciekali.

Mitra, ksiązę, nie tutejszy był. przez zaślubienie bogatej dziedziczki do arystokracji tutejszej się wcielił. Ten co do powierzchowności stanowił wyjątek.

Chuderlawy, nie piękny, mały, rysów nie miłych, w których pańską była tylko pogarda jakas, kwas, duma i sztywność; obracał się, chodząc, podnosił ręce, jak lalka drewniana, za którą ktoś sznurki pociąga. — Patrząc nań, mimowolnie nasłuchiwało się, czy drewniane sustawy nie trzeszczą.

Z siebie ubogi — pięknego imienia, które w ostatnich czasach Rzeczypospolitej świetnie jeszcze było reprezentowane — ksiązę wyznawał zasady tak krańcowe, o opinią tak nie dbał, ludzi nie miłych sobie tak błotem obrzucał — iż

musiano go uważać za silny filar gmachu, pod którego dach się zablakał.

Znali go dawniej ludzie innym, lecz — zaślubiwszy ów posag, z nim razem poślubił zasady, w imię których dopomóżono mu do uzyskania go.

Książę Edzio z nich wszystkich miał najwięcej pozornego wykształcenia, uchodził nawet za uczonego — gdyż często znajdowano u niego rozłożoną książkę poważnej treści. „Univers“ Venilota był jego chlebem powszednim.

Jeszcze jeden hrabia piękny, urodziwy, silny, budowy atletycznej, której tylko zbytnią już bujność zarzucić było można, nazywał się Sławek. Wesoły, odważny, elegant po trosze, chętny do stawiania z bronią w rękę po stronie, której zasad nie rozumiał — dorabiał się popularności, którą niby udawał, że pogardza.

Sam on chluby z tego szukał, że nigdy nie czytał — a że nie wiele myślał, o tem wiedzieli wszyscy. Napadał zawsze hałaśliwie na to, co się albo bronić nie mogło albo nie chciało. Gotów był czasem coś dobrego zrobić, ale z własnej fantazyi — i gdy czuł, że się to rozniesie.

Hr. Sławka nikt nie brał na seryo, lecz że majątny był i dobrze mógł figurować, gdzie trzeba było ramion nie głowy, posługiwano się nim.

Na ostatek bez tytułu, ale bardzo starego i pięknego imienia. przezywany czasem hrabią i

nie protestujący przeciwko temu — stał w postawie rodyjskiego kolosu, wojskowej powierchowności, z wąsami dużemi — Bercik.

Obywatel niegdys możny, dziś zrujnowany, obarczony rodziną, chodzący dzierżawami. — Bercik ciężki los swój lekko nosił. Ażeby się utrzymać w kółku, do którego niegdys należał — go-tów był na posługi wszelkie, i na stopie równości stał z matadorami. Lat przeszło czterdziestu, tancerzem był jeszcze zawołanym — grać lubił jak inni, umiał zaś lepiej niż wielu.

Spojrzawszy po tem kółku, można było z postawy za wodza jego wziąć hr. Zenia. Miał prezydyalną powierchowność, nikle jednak książątko, nie dając znać po sobie, w istocie przewagę miało nad nim... Był to mały Machiawel drewniany — na skalę tego nie wielkiego świata.

Reszta stanowiła chór, unisono odpowiadający koryfeuszom...

— Widział go z was który? — mówił Zenio — poznał się? zna? Jak się on obiecuje? co to za ryba być może?

Mówiąc to powoli, tonem, do jakiego był przywykł przy zagajaniach i prezydowaniu komitetów, spojrzał z góry po towarzyszach i puszczając dym czekał odpowiedzi.

Hr. Sławek się wyrwał.

— Ma foi! Ale ja go znam! widziałem go teraz, mówiłem z nim.

— Więc? cóż? spytał lakonicznie Zenio.

Sławek, gdy szło o nieco dosadniejsze określenie pojęć swych, był zawsze w dość przykrem położeniu. Po polsku mówił trochę z ekonomską, po francusku tak, jak go bona nauczyła — myśl z mózgu dobywała mu się z ciężkością. Za to mówiąc ruchami rąk i twarzy. dopełniał, czego słowa nie umiał wyrazić.

Zaśmiał się.

— He? — rzekł — widzicie, człowiek tego imienia, takiej rodziny, no — i dobrze wychowany, przecież musi być przyzwoitym.

— Ale to jeszcze nie mówi nic — odparł Zenio. — Rozumie się, że jest przyzwoitym. Wiem, że matka łożyła na wychowanie grosz ostatni — ale... tu sęk! na kogo i jak go wychowała? Co za ryba?

Nastąpiła chwilka milczenia...

Toni, widząc hr. Sławka zakłopotanym, dorzucił rubaszenie:

— Ja rozumiem, o co Zeniowi idzie. Hrabia August krwią należy niezaprzeczenie do jednej z najznakomitszych rodzin kraju — ale...

Zenio podchwycił z przyciskiem:

— Ale!!

— A — kończył Toni — wiadomo, że ten pan z panów matkę ma ubogą niegdyś szlachciankę — że ona go wychowywała i że niedawno jeszcze był bardzo biednym dziedzicem

trzech nieosobliwszych folwarczaków... Być dzie-
dzącem majoratu ani mn się śniło, bo hr. Fran-
ciszek Ksawery w sile wieku właśnie się miał
żenić. Tymczasem — paf!! z tego biedaka milio-
ner... Żył lat ze trzydzieści chndopacholkiem a
to zawsze usposabia...

— Ale tak! tak! zrozumiałeś mnie! — za-
wolał Zenio, i leżącego obok siebie po ramieniu
łaskawie raczył poklepać.

Hr. Slawek, który się głupekowato zwykł był
uśmieczać, gdy się nie mógł dobrze wysławić —
a było mu w uśmiechu tym do twarzy — roz-
śmiał się, począł bawić cygarem, dopił Curacao
i rzekł:

— Ja tam nie mogę powiedzieć, co z niego
będzie, ależ... takie imię!!

Milczeli wszyscy i filiżanki od kawy słysząc
było rozmawiające tylko z kieliszeczkami od likworu.

Sztywny, drewniany książę stanął, dyploma-
tyczne przybrał oblicze i zabierał się wyrok fe-
rować. — Głos miał fałszywy i nieco zachrypły.

— Spotykałem go dawniej za granicą...

— O! o! — odezwał się Zenio — voila! ten
nam coś powie!

Książę, który nie zwykł był nic powiedzieć
łatwo i naturalnie i zdawał się zawsze wysilać
na to, co rzec raczył, namarszczył się naprzód
i wykrzywił. Oznajmywał w ten sposób, iż miał
coś powiedzieć niesłychanie ważnego.

(Tu musimy przeprosić czytelnika, iż głos książęcy podamy mu w przekładzie polskim; w oryginalu brzmiał na pół po francuzku.)

— To, co Zenio napomknął o matce, wszak — Zenio!

— Nie, to ja o niej wspominałem — ujął się Toni.

— Ale wszystko jedno — przerwał prezes — wyraziłeś myśl moją.

— Matka — mówił książę z wolna — jako jedynaka i jako potomka takiej rodziny, choć ubodzy byli, wychowywała go z całą starannością, na jaką zdobyć się mogła.

Lecz — powiedzieliście — jest to sobie szlachciaieczka, która swe zaściankowe pojęcia wniosła z sobą do pańskiego domu...

Nauki ma może aż nadto — ale do świata mało się zdaje stworzony... Jakie więc w naszym społeczeństwie zajmie stanowisko, to się dopiero pokazać może, gdy go między nami ujrzeć będziecie mieli.

Na ostatnich wyrazach położył nacisk nieco szyderski.

— A ja wam powiadam — przerwał Toni — że czem on tam był, to był, ubogim, a teraz — ho! ho! dobra krew nie zawodzi — potrafi być, czem powinien. Słowo daję!

— I ja tak sędzę — potwierdził Zenio. — Główna jest rzecz, ażeby go zawczasu nie oto-

czyli tacy, co go obalamuncić mogą i zwichnąć. bo że nań polować będą!!

Zaśmiali się inni.

— Zbliżyć się do nas przecie musi — wtracił Sławek — choćby nawet nie miał tu zamieszkać. Gdyż, wątpliwa rzecz, jak mi mówiono, w których dobrach stale zechce przebywać, tu w Królestwie czy w Galicyi. Ma w czem wybierać.

— Matka przecie tu ma rodzinę! — dodał Zenio.

Książę stał jak kolek, zbierając się do fero-wania nowej jakiejś wyroczni.

— Za pozwoleniem! — rzekł — nie zaprzeczycie temu, że krew, temperament... charaktery nawet są dziedziczne?

Nikt się aksjomatowi temu nie myślał sprzeciwiać.

— Otóż — ciągnął Edzio — w rodzinie ich energia i upór niepospolity są dziedziczne. Pokierować nim, przewiduję, będzie nadzwyczaj trudno — *komukolwiek*bądź. Il en font toujours à leur tête!

Z towarzystwa nikt się już jakoś odzywać nie miał ochoty. Na wszystkich twarzach widać było zmęczenie a prawie nadęsanie na księcia, iż po obiedzie wprowadził rozmowę na tak transcendentalne tory.

Dla tych ludzi, których myśl nawykła była kręcić się w kółku banalnym powszednich plotek i niesmacznych żarcików — zadanie już było wielce skomplikowane.

W sposób sobie właściwy rozwiązał je hr. Zenio.

— Trzeba będzie pokierować nim — rzekł. — Najłatwiejsza rzecz w świecie, tylko się trzymajmy mądrości ludów, która powiada: gdzie djabeł nie może, babę posłać musi.

Szerokim śmiechem powitano ten niby dowcip, w nadziei może, iż zwrot ten ku niewiastom, po polsku rozmowę da dokończyć paplaniną... tłustą.

Książe, który z pewnych powodów chciał być dobrze z Zeniem, pochwalił go, szepnąwszy:

— C'est très fin.

— Prosta rzecz — wtrącił uradowany powodzeniem i pochwałą z takich ust Zenio — niech się tylko panie nasze wezmą do niego... I dobrze, wcale dobrzeby było go tu zatrzymać, ożenić, a mieć naszym... Powaga imienia a jeszcze takiego imienia! Ba! ba! ba!

Wszyscy potakiwali.

Sławek, który chciał mieć udział w rozmowie, wstał z krzesła i podszedł ku księcin — wdzięcznie się śmiejąc i przybierając antinonsowskie pozy.

— Nie wiem, czy kto z was widział go! Nie jest piękny — ale dzielny! Oko bystre, twarz — charakterystyczna. Gdy zechce, podobać się potrafi.

— Gdyby nawet brzydkim był — westchnął Zenio — którażby go kobieta nie życzyła sobie?

Musiał pomyśleć o starszej swej córce. Inni, choć mieli córki i kuzynki, tak zuchwalej myśli pewno nie odważyli się powziąć.

— Słuchaj, Sławek — począł Zenio — ty go znasz, na ciebie więc spada obowiązek wciągnąć go! Rozumiesz! Połowanie! obiadek! coś takiego! Niech się długo nie dzieje. Jakiegokolwiek imię nosi, ale wchodzi tu... powinien sam pierwszy szukać stosunków a ty mu je ułatwić.

— A! — zaśmiał się Sławek — czy i swatem mi być każecie?

Pokryto śmiechem przypuszczenie to — wszyscy się czuli znuzeni.

Bercik ziewnął.

Zenio, który ciągle leżał jeszcze z wyrazem błęgiego uspokojenia po dobrze strawionym obiedzie, zadzwonił o wodę sodową.

Przyniesiono ją zaraz. Korzystając ze zrzeczności Sławek, który bezkarnie jadł i pił, co spotykał — nałał też jej sobie.

Księżę zażądał pół szklanki, był wielce pieczołowity o dość kruche zdrowie.

Przerwało to dalsze znęcanie się nad hrabią Angustem; ale Zenio, nie zbyt w myśli obfity, zagaiwszy o nowym przybyszu tak szczęśliwie, wrócił do pierwszego tematu — mając go za bardzo ważny.

— Ponieważ postanowiliśmy go tu ożenić, zrobimy rewię panien naszych.

Hr. Sławek w tych rzeczach powszednich, gdzie o myśl i wyraz nie wiele chodziło, chętnie się

naprzód wrywał. — Zamrnczał więc naprzód imię hrabianki Leonii, o której posagu zdania były podzielone. Jedni znowu utrzymywali, iż ten warunkiem koniecznym nie będzie, drudzy znowu, iż odpowiednim być musi fortune hr. Augusta. Przypomniano i niedawne jego ubóstwo i skromny stósunkowo posag matki. Toni napomknął o drugiej pannie, odznaczającej się równie wychowaniem jak pięknnością. Tej miano do zarzucenia nie dosyć arystokratyczną prozapią. Naostatek hr. Sławek, który, choć żonaty od dawna i ojciec rodziny, piękności niewieściej był wielbicielem gorącym — z westchnieniem wymówił imię — Berty złotowłosej!!

Zwykłym obyczajem skończyło się na tem, iż zapomniano o hr. Augustcie, a o różnych wdzięcznych twarzyczkach, nie mogących być na porządku dziennym, rozprawiano z zapalem.

Małe skandaliczne powiastki homeryczne rozbudzały śmiechy. Ciągnęłoby się to było może bardzo długo, gdyby Zenio nie ziewnął i nie spojrział na zegarek.

W pokoju zaczynało się robić coraz ciemniej — wieczór nadchodził — dzień szczęśliwie został zabity!

Niektórzy z tych panów spoglądali ku kapeluszm, gdy od pokoju, który jadalnią poprzedzał, dał się głos mężki słyszeć.

Wszyscy mu się z uwagą przysłuchiwać zaczęli — usiłując rozpoznać, czyj był, czy nadchodzący należał do towarzystwa lub był zbłąkanym jakimś szlachetką, co sobie zapóźno obiad przypomniał.

Hrabia Sławek, który w braku innych zdolności ucho miał doskonałe, żwawo poszedł do drzwi, i — zawsze śmiały — otworzył je, spojrzął, zwrócił do swoich, mrugając z uśmiechem.

— O wilku mowa!!

Usłyszawszy to Zenio, tak żwawo zerwał się z kanapy, iż krzesło, na którym nogi jego spoczywały, z łoskotem runęło. Toni wstał też i rozprostował się. — Bercik przejrzał w zwierciadło, książkę stał, bardziej jeszcze sztywniej niż zwykle.

Dawszy jakiś znak swoim, Sławek z gracyą się przeginając, bo sądził, że takie balansowanie korpusem ogromnej budowli jego lekkości dodaje, otworzył drzwi i wpadł do bocznego pokoju.

Słuchać było witanie się głośne, dosyć cichą na nie odpowiedź, potem szepty jakieś.

Oczy wszystkich na drzwi były zwrócone w oczekiwaniu niespokojnem. Ci, co już kapelusze w rękach trzymali, postavili je.

Spodziewano się zobaczyć tego wilka i ciekawość lywo była rozbudzona.

Upłynęła chwila dobra w niepewności — jakby się tam targowano. Potem powolne dały się słyszeć kroki, głos i śmiech hr. Sławka, drzwi

się otwarły szeroko i tryumfujący posel wwiódł do saloniku znanego nam hr. Augusta.

Gdyby towarzystwo nie było uprzedzone o hr. Augustcie, z pewnością nie byłby zwrócił na siebie uwagi jego. Nie było w nim na pierwsze wejście nic uderzającego, potrzeba mu się było przypatrzeć dobrze, aby w nim człowieka niepospolitego odgadnąć. Jak inni uwydatnić się pragnął i najczęściej przez to śmiesznymi czynił, on zdawał się pracować nad tem, aby na siebie ócz nie ściągać. Powierzchnowość pozostała skroniną, jak była, a mimo niej hr. Sławek, nicosć nadęta, pokąźniejsza nierównie — czuł się przy nim małym i nie znaczącym, tak że gotów mu był dworować. Nie zgadzało się to ani z jego charakterem, ani z temperamentem, ale warto było coś poświęcić, byle się pochwalic poufałością hr. Augusta.

Przybywający nader uprzejmie witał poznających się z sobą panów, znalazłszy dla każdego z nich grzeczność jakąś do powiedzenia. Swobodnym był i wesołym, a jednak uczuli wszyscy, iż do zbytniego pokumania się nie miał ochoty dopuścić nikogo. Była to grzeczność człowieka, który czuje godność swoją a pysznić się nią nie ma potrzeby. Obejście się łatwe świadczyło o wielkiem obyciu się ze światem i ludźmi. Przytomność nieznanomych panów, badających go z cie-

kawością trochę parafianką i niedyskretną — bynajmniej go nie zmieszała.

Hrabia Zenio, narzucający się trochę rubasznie, Toni, który, nie chcąc się dać zatrzeć, wysuwał się naprzód, drewniany książkę z miną dyplomaty, Bercik stukający i chrząkający dla udowodnienia, że miał prawo znajdować się w tym towarzystwie — nie odwrócili uwagi jego od celu, dla którego przybył do restauracyi. Natychmiast zadysponował sobie obiad skromny z pół butelką nieosobliwego wina i począł szukać miejsca najdogodniejszego.

Panowie ci, choć przed chwilą mieli się już ztąd oddalić, pozapalali cygara na nowo. Ze zrzeczności poznania się i zbliżenia do tak zajmującej osobistości, każdy chciał korzystać.

Hrabia Zenio, nawykły do wyrokowania w rzeczach kuchni, piwnicy i gastronomii w ogóle, której był wielkim mistrzem, zwrócił zaraz uwagę hrabiego na właściwości kuchni miejscowej, dając mu rady co do obiadu i wyboru potraw.

— A! — odezwał się wesóło hr. August — ja prawie wcale nie znam się na kuchni i obojętny jestem na jedzenie. Byle ono zdrowe było, posilne a nie obrzydliwe, więcej nie wymagam. Czasu podróży po świecie nawykłem do najrozmaitszego jadła — młody jestem i zdrów, znoszę wszystko.

Zenio tem więcej wychwalał tę cnotę, iż — przyznawał się, że jej nie miał. Zwrócono bacz-

ność także na wino, które też było obojętnem gościowi.

Panowie spojrzeli po sobie, bo im ta surowość czy też obojętność o pokarm nie podobiała się. Był to znak panowania nad sobą, rodzaj wyrzutu tym, co żyli tylko, aby używali.

Miano się już na baczności.

Małeńka to rzecz była ten obiad skromny wielkiego pana, ale resztki lukullusowej biesiady jeszcze widoczne nie godziły się z tą oszczędnością magnata.

Dawał im naukę, sam o tem nie wiedząc.— Spostrzegłszy zakłopotanie pewne, hr. August ze swobodą wielką zapytał hrabiego Zenia, co go sprowadziło do miasta, dodając razem dla wytłumaczenia siebie, iż mu w Angustówce na wielu rzeczach zbywało, po które musiał przybyć. Angustówka była dawną opuszczoną rezydencją rodziny.

Z uśmiechem dodał, iż był szczęśliwym, że mu to nastreczyło zręczność poznania współziomków i t. d.

Zenio zabrał głos.

— Spodziewamy się i cieszym się zawczasu, że hrabia pozostaniesz z nami!

Szanowną to będzie dla nas zdobyczą, mówił, przybierając ton swój prezydyalny — nas tu nie wielu jest a do czynienia mamy ogromnie.

Hr. August nie prędko odpowiedział.

— W istocie, rzekł, dziś wszędzie wiele jest do czynienia, i jeśli kiedy to dziś ci, co większymi środkami rozporządzają, mają też wielkie obowiązki.

— Tak! tak! podchwycił Zenio, — bo to pannie hrabio, wojna formalna, wojna. Szlachta i panowie jak w oblężeniu! Proletaryat wszelkiego rodzaju pnie się w górę. Ludzie bez tradycji, bez przeszłości chcą nam przewodzić...

Dobrze się musimy trzymać, aby się utrzymać...

Hrabia Zenio frazes ten wypowiedział jako myśl własną, ale, prawdą a Bogiem, nie dawno na jednym z posiedzeń, w których prezydował, usłyszał go tak ładnie sformulowanym i przyswoił sobie na własny użytek.

Hr. August zdawał się nderzony nieco tak śmiało wyrażoną myślą, spojrzał na mówiącego i rzekł:

— Masz hrabio słuszność! Mamy do czynienia wiele! bardzo wiele! Tak jest!

To proste potwierdzenie założenia bez dalszego rozwinięcia, dodało odwagi sztywnemu księżątku, które szepnęło z mefistofelesowym nśmiechem:

— Jak dawniej od Tatarów tak dziś od napływającego... gminu... musimy ocalić społeczność.

Hrabia nie odpowiedział nic, spojrzał dziwnie, jadał dalej.

— Ale my też tu, począł nie dający sobie odebrać słowa Zenio — bronimy się dzielnie, dzięki Bogu, stoimy kupą, murem, w żadne umizgi i koncesye owemu głupiemu duchowi wieku się nie wdajemy, i — jesteśmy powagą!!

Przekonasz się, szanowny hrabio, że rycersko stanowiska naszego bronimy!!

Zenio nacierał tak nie bez celu, chciał od razu wydobyć z przybyłego wyznanie wiary, lecz nie zbyt mu się udał ten argument *ad hominem*, bo hr. August wysłuchał go cierpliwie, spokojnie i — milczał...

Spodziewano się adhezyi wyraźnej z jego strony — milczenie objawiało, że — gość wiązać się nie chciał, nie będąc pewnym gruntu, po którym stąpał...

Zenio pomimo to rachował na potomka hetmanów iż musiał należeć do obozu, z którym (ile mu się zdawało) krew go i tradycje wiązały.

W niepewności, trochę niezręcznie, zbyt pośpiesznie i bez przygotowania Zenio natarł nowym szturmem.

— Myśmy tu na obozy podzieleni, panie hrabio. Spodziewamy się w nim nowego wodza! Partya nasza...

— Partya! przerwał nareszcie August. Przyznam się panu, że ja z zasady do żadnego stronnictwa, obozu, partyi, zapisywać się nigdy nie myśle... Mówię to otwarcie. Zresztą ani wiek mój,

ani mała kraju i jego położenia i potrzeb znajomość nie dozwala mi sumiennie brać na siebie innej roli nad bardzo skromnego pracownika... Przystanie do obozu jest zawsze spętaniem osobistej swobody i przekonań.

Co innego panowie, którzy macie doświadczenie i nabyte niem jasne pojęcia, możecie się wedle nich grupować. Ja, gdy będę dobrym gospodarzem, a spełnię powszednie obowiązki obywatelskie, od których w żadnym razie wyłamywać się nie myślę, sądzę, że uczynię zadość powinności...

Dla słuchających teoria ta była już zanadto skomplikowaną i budziła pewne podejrzenie, jakąś niewiarę. Potomek hetmanów cofał się widocznie.

— Oho! oho! pomyślał Zenio — chce sobie stać na boku!

Drewniany książę zagryzł usta, atletyczny hr. Sławek, stojący z tyłu, namarszczył się.

Nieprzyjemne milczenie czas jakiś trwało, z którego mógł się łatwo gość domysleć, iż panowie ci niekoniecznie pochwalali jego zasady.

Nie odebrało mu to ani humoru ani apetytu. Jadł a na twarzy zachowywał wyraz wesołego wypogodzenia, z jakim przybył.

Zenio myślał jeszcze, jakby znowu zerwaną zadzierzgnąć rozmowę, gdy książę, który miał już dosyć tego wyznania neutralności — wziął za

kapelusz, z zimną grzecznością się pożegnał i wyszedł.

Był pewnym, że ta niema protestacya zostanie zrozumianą.

Hrabia Zenio palił zadumany cygaro. W głowie własnej możeby mu zabrakło nowego asumptu do dalszej rozprawy w przedmiocie wyczerpanym wyznaniem tak otwartem — ale, zasiadając w tyłu komitetach, przysłuchując się tyłu sporom, miał zapas znaczny obłamków różnych, które się *tempore oportuno* zastosować dawały.

— Tak! tak! — westchnął — wygodnie to jest zająć, że się tak wyrażę, stanowisko niezależne, lecz są wypadki, okoliczności, położenia, w których grupować się jest — obowiązkiem a dziko chodzić samopas — trudno!

Sławek pospieszył potwierdzić to bardzo dobitnie.

— Tak! — dodał — są chwile, gdy każdy musi być z kimś albo przeciw komuś!

— Kochany hrabio! — obracając się ku niemu z uśmiechem, rzekł August. — Ja tu jestem *homo novus*, do żadnego szeregu nie mogę się zapisać, bo nie czuję, bym się na co przydał... Ograniczam się obowiązkami powszedniemi.

— A to się właśnie nie godzi — przerwał Zenio — *noblesse oblige*, takiego imienia dziedzic nie może się od wyższych zadań społecznych usuwać.

Hr. August trochę się zmarszczył, nudziły go już te napaści.

— Znajdziecie mnie zawsze gotowym do wszystkich ofiar, do spełnienia obowiązków — odparł — ale sumienie moje musi rozstrzygnąć o ich — potrzebie.

— *Voyez vous* — zawołał uparty Zenio z wyrazem smutku. — Gdyby wszyscy chcieli tak iść samopas, gdyby karność nie było, spójności, solidarności — wszystko by się u nas rozprzegło.

— A! nie lękajcie się — rzekł hr. August — gdzie tylko w sprawie ogólnej iść będzie potrzeba ramię do ramienia — nie odstąpię, nie cofnę się...

Był to — ogólnik nie dosyć jeszcze jasny.

Toni chodził po pokoju z cygarem w ustach zadumany, słuchając rozmowy i z ukosa spoglądając na Zenia, którego natarczywości nie pochwalał. Bercik nie czuł się ani w usposobieniu ni w prawie mieszania się do rozpraw; na pustogłowego hr. Sławka spadał obowiązek dopomagania Zeniowi.

Nie grzeszył on zbyt niemi rozwinięciem władz umysłowych, ale miał też rzeczy pochwytyanych zapasy na potrzebę codzienną.

Z pewną poufałością, do której go dawniejsza znajomość upoważniała, schylił się do ucha hr. Augustowi i szepnął mu coś, na co uchyleciem głowy przyzwalajacem odpowiedział.

Szczęściem dla wszystkich, gdy rozmowa stać się mogła drażliwą a przykrą dla gościa, otwarty się drzwi szeroko i mężczyzna z głową siwą, krótko postrzyżoną, wąsikami wyszwarcowanymi, nastawionymi do góry, twarzą wesołą, postawą żołnierską — stary a tak rzeźwy, iżby mu wielu młodych nie sprostało — wszedł do pokoju.

Był to pułkownik Samulski, który długi czas po świecie wojował, obywatel bardzo majątny a przez matkę hrabiego, ciotecznie rodzoną siostrę swą z nim spokrewniony. Nie zbywało mu i na innych świetnych koligacjach, w społeczeństwie zajmował miejsce wybitne.

Pułkownik wszedłszy, jakby tu szukał tylko hr. Augusta, nie zważając na Zenia i Sławka — wprost zbliżył się do stolika.

— Guccio! Cóż to? nie poznajesz mnie może! wujaszka.

I ręce szeroko rozstawił, aby go uścisnąć, co nie chybiło, gdyż August z czułością wielką rzucił się ku niemu i radośnie witać go zaczął.

— Ale jakżebym ja miał nie poznać pułkownika — zawołał — kiedyś się do prawdy nie a nie nie zmienił.

— Ha! djabła tam! — odparł Samulski — i skrzywił się. W kościach łamie, koń już po sześciu siedmiu godzinach męczy, starość nie radość! Tylko wąsy zawsze do góry! po grenadyersku! Ale ty! ty! Gdyby mi nie powiedzieli, że tu

jesteś, i gdybyś nie miał takiej familijnej twarzy skich — *nom d'un nom!* nie poznałbym cię!

Urosłeś, zmężniałeś, wypiękniałeś.

August śmiał się. Pulkownik go poufale poklepał po ramieniu.

— Siadaj, jedz, pij, nie przeszkadzam.

Dopiero teraz przywitał się z innymi poufale, ale jakoś lekceważąc ich sobie i zajął miejsce na kanapie.

Na widok pułkownika twarze wszystkich powlokły się jakimś chłodem pokostem.

Samulski był człowiekiem innych czasów i pojęć — a przerobić się na nowe kopyto nie dawał nikomu. Towarzystwo sobie ujmę nie czyniąc, nie mogło go odepchnąć, a był im w najwyższym stopniu niedogodny, co się zowie *turbator chori*.

Mówił im prawdy najnieprzyjemniejsze bez ogródki, w oczy — do nowych idei i obyczajów nagiąć się nie dawał.

Miał przytem wiele dowcipu i odwagę niepospolitą. Szanować go musiano a lubieć nie mogli.

Toni miał dlań respekt jako dla doskonałego kawalerzysty i znawcy koni. Zenio bał się go dla ostrego języka — inni kłaniali mu się, bo był popularnym wszędzie.

Miał ten przywilej, że we wszystkie koła wchodził, znał tych i tamtych i nikomu prawdy ostrej nie skąpił.

— My tu właśnie, kochany pułkowniku — zaczął Zenio — oblegamy pana hrabiego trochę niedyskretnemi pytaniami. Idzie nam o to, abyśmy go sobie pozyskali.

— Bądźcie spokojni — zaśmiał się Samulski — *Superlotte!* dobra krew nie zawodzi! Ja wam za niego ręczę, że pójdzie wszędzie, gdzie smienie, honor i powinność każe — ale *nom d'un petit bon homme* — dodał — jeżeli myślicie oknąć go w niewolę, aby klepał za panią matką pacierz, jak Sławek... jak... to wam z góry powiadam, że z tego nic nie będzie, Ci. . . .scy mają wszyscy swój rozum i uparci są.

Sławek, któremu zadano, że za panią matką pacierz odmawiał, najeżył się straszenie. Ostatnim u niego argumentem była zawsze groźba poje dynku.

— Cóż to pułkownik mi przycinasz? bąknął — kwaśno. — Wiesz, że ja sobie chybiać nie pozwalam.

— Kochany Sławku — śmiał się Samulski — *nom d'un nom*, nie myślałem ci przycinać, wiem, że się bijesz dobrze i strzelasz chętnie, a ty też znasz mnie, że ja placu sobie ostrzelać nie daję. Chciałem tylko pochwalić w tobie tę snbordynacyą, której mój August nie będzie miał. Ja ich znam!

Hr. Sławek ostygł nieco, lecz zachował zagniewaną twarz i postawę. Wystawiony był na

dudka, a właśnie całe życie bąki strzelał, aby nie dać poznać, że nim był.

August przerwał.

— Pułkownik odgadłeś zupełnie, bom tylko co złożył wyznanie wiary obywatelskiej w tym duchu.

— Byłem ci tego pewny! — odparł Samulski — *Sapristi!* krew nie kłamie.

I pociągnawszy dobrze cygara, zwrócił się do Zenia.

— Chcieliście mną dobyć much z nosa, he?

Spoważniały nagle i obrażony tem, że go lekko traktowano, Zenio zasępił się, błysnął wzrokiem ostrym i zmilezał.

— Nie potrzeba było go brać na spytki — mówił dalej pułkownik — dosyć było mnie spytać. Jabym wam zamknawszy oczy powiedział, czem Gucio będzie a czem być nie może.

Siana za nikim wozic nie zechce.

Dziesięć razy rozumiejszy ode mnie.

— Ale! wujaszku! — protestował August.

— Tak jest — ciągnął Samulski dalej — będzie miał tę wadę czy cnotę, że z własnem przekonaniem zechce chodzić samopas. Wy chodziecie gromadą, ma to swą dobrą stronę, ale nie każdy z zawiązanemi oczyma lmbi iść pod cudzą komendę.

Wy zawsze chodziecie po skrajach a my, bo i ja taki jestem, trzymamy się środka.

August głową potwierdzał.

— Od pana hetmana, słynnego ich przodka, takimi oni byli i spodziewam się, że nimi zostaną, a — chcecie, abym wam przypomniiał, co hetman robił?

Zenio, którego już drażnił obrót, jaki rozmowa przybrała, a przeczuwał, że pułkownik gotów ją jeszcze uczynić nieprzyjemniejszą, wdział prędko jedną rękawiczkę, chwycił kapelusz i zabrał się do wyjścia. Toni był już do tego dawniej przygotowanym, Bercik wprzód jeszcze wymknął się po cichu, Sławek nie widział potrzeby dosiadywać dłużej.

Wyjście to nagłe i gromadne miało pozór pewnego rodzaju protestacyi, która na usta pułkownika uśmiech politowania wywołała.

— *Sans rancune!* — odezwał się, rękę podając Sławkowi, który dotknął jej z lekka.

Hr. August z pułkownikiem pozostali sami, Samulski za wychodzącymi popatrzał długo, westchnął ciężko.

— Nie chciałbym ci, mój Guciu, na wstępie odebrać smaku od naszego towarzystwa — rzekł — ale gdy patrzę na tych ludzi, co tu teraz rej wodzą, co się mianują koryfeuszami, reprezentują kwiat i śmietankę... a przypominę sobie jacy dawniej bywali... serce mi się ściska okrutnie...

Widziałeś ich — to dosyć!

Lalki są z głowy pustemi, z sercami zeschłemi, a gdybyż choć kieszenie, w imię których panować chcą, pełne mieli!!

Ale i to — blichtr! Nadęte to, próżne, dumne, dziecinne.

— Wujaszku kochany! za ostro! — rozśmiał się hrabia.

— Wcale nie! Jestem jeszcze pobłażającym — kończył Samulski. O nicości ich ty jeszcze wyobrażenia nie masz.

Uśmiechnął się.

— Zenio — przerwał hrabia — zdał mi się poważnym i pewnych stałych zasad człowiekiem. Zawsze to poszanowania jest godnem.

— Pocziwy Zenio — mówił pułkownik. — Aleć to przecie znana szejne katarynka, która śpiewa tę piosnkę, jaką jej włożono we środek. Myśli własnej, pocziwiec, w życiu nigdy nie uredził. Sławka też posądzić niepodobna, aby rozumiał, w co wierzy i dokąd idzie. U niego zasady są sprawą *de tenue*. Ładnie mu z niemi i wygodnie, więc je nosi.

August nie dzielający może surowych opinij wuja, spoważniał trochę.

— Wujaszek jesteś bez litości — rzekł. — Trzeba być pobłażającym i wyrozumiałym.

— Mój drogi, wierz mi — odparł pułkownik — nie potępiam ich, bo Bogu są winni ducha. Ale

cóż za smutny dowód ubóstwa naszej społeczności, gdy takich sobie wodzów obiera!!

Spuścił głowę.

— Czy myślicie zamieszkać tu w Augustówce? — spytał.

Hrabia ku drzwiom się obejrzał.

— Nie wiem, rzekł poważnie. — Zamiarem moim jest pozostać tam, gdzie znajdę najwłaściwsze dla mnie pole działania, gdzie większość ludzi, z którymi się związać muszę, okaże się najsympatyczniejszą,

Samulski głową pokręcił.

— *Sacré nom!* — zawołał — wybierasz więc sobie stanowisko jakby żołnierz na placu boju, gdzie kul najmniej pada, a dymu, i kurzawy nie czuć.

— Bom rekrut! — rzekł August.

— A ja młodych rekrutów, aby ich prędzej przerobić na starych wygów, wyprawiałem zawsze na najcieplejszy ogień — odpowiedział Samulski. — Nie sztuka sobie wybrać najprzyjemniejsze towarzystwo i najwygodniejszy posternek. *Cré nom!* Właśnie tu, gdzie ludzi brak powinienes stanąć do walki.

Sparł się na rękę i — zamilkł nagle.

August, który oddawna skończył był swój skromny obiad, z ciekawością przysiadł się do wuja, ale ten stracił nagle ochotę do dalszego wywnętrzania się i posmutniał.

Myśl jego inny obrót wzięła.

— Rób jak chcesz — rzekł po długim pre-stanku — jak ci twe przekonanie dyktuje!! Nie powiem już nic więcej! Dla mnie, com tu długie przeżył lata, co kraik ten pamiętam niegdyś i dzisiaj, com ludzi życie mu dających był przy-jacielem i biednym współpracownikiem — patrzeć na tych nędznych epigonów — serce się kraje.

August uściśnął go w milczeniu i szepnął po chwili:

— Niech no mi wujaszek nie odbiera serca a nie zraża zawczasu!

— Ba! zawodu ci chciałem oszczędzić — od-parł Samulski — ale milczę, tak lepiej.

Gdzież matka twoja? Ja nic nie wiem.

— Ze mną przybyła do Augustówki, i miała posłać z zawiadomieniem...

— Którego ja dotąd nie odebrałem.

A więc zamieszkujecie tu?

— Czas jakiś przynajmniej — rzekł August.

— Znając kochaną siostrę Maryą, przerwał Sa-mulski, domyślam się jakichś matrimonialnych projektów...

Spojrzał bystro.

— Byłyby zawczesne, rzekł August.

— Ba! ba! myślisz Jezusowych lat czekać.

— Nie chcę się spieszyć... Swobodę wolę...

— Której ani używać ani nadużyć nie my-

ślisz! — dokończył pułkownik. Na to jesteś za poważny i surowo wychowany.

— Za co wdzięczem jestem matce... rzekł hrabia.

— Panien — mówił Samulski uparty — nie zabraknie tutaj. Są i piękne i bogate! Niestety i większa część ich, choć je natura lepiej od mężczyzn wyposażyla — odebrały wychowanie takie, iż darami bożemi przewyższając braci, wykształceniem stoją z nimi na równi. Takie lalki jak i oni. Trochę tylko więcej charakteru mają, energii i instynktu pocziwego.

August słuchał ciekawie.

— Ja, żołnierzem byłem i jestem, mówił wuj, uczyć się nie miałem czasu ni sposobności — jestem biednym autodydaktem, ale gdy patrzę, na co zeszło u nas wychowanie mężczyzn — i kobiet! smutek mnie ogarnia. Miałeś próbę, czem są panowie! Kobiety są umysłowo wyższe od nich daleko, a jednak w porównaniu do naszych dawnych — co za lalki! Mają wszystkie talenta potrzebne do salonu, francuzczyznę wcale ładną, umiejętność ubierania się znakomitą, żargon, dowcip — wszystko... tylko — pod tą świetną powłoką nie szukaj więcej! — pustki!

— Wujaszek całą bo społeczność naszą ogadujesz! — rozśmiał się słuchający go z zajęciem hrabia.

— Masz słuszność! Zgorzkniałem! — odparł Samulski, wstając. — I ludzie na starość jęczą.

Daj Boże, bym był ślepy, daj Boże, bym się mylił! — ale... gdy w innych stronach dźwigają się ludzie, u nas co za... upadek!

Stary gorączka zerwał się z kanapy.

— No, chodźmy ztąd — krzyknął — dosyć do licha tego zalewania się trucizną... Długo tu bawisz?

— Jutro chcę powrócić do matki. Przybyłem tylko dla pokupek...

— No! i udało ci się tak szczęśliwie wpaść między tych panów, iż — osądzonym będziesz i niechybnie potępionym.

Do czego i ja się może przyczyniłem trochę — dodał stary. — Ale to nie szkodzi nic. Będą pobłażający, boby cię bardzo mieć chcieli, z warunkiem, byś się im poddał...

To mówiąc, uściskał go.

— Spokojny jestem o ciebie — rzekł. — Nie dasz się im opętać i spętać... Chodźmy!

I wyciągnął go z restauracyi.

Była wiosna. — Kilka miesięcy upłynęło od przybycia hrabiego Augusta do owej rezydencyi w Augustówce.

Niewłaściwie może było imieniem tem chrzcić stary pałacyk, za czasów Stanisława Augusta

wzniesiony tu przez dziada hrabiego, który to samo imię co on nosił, wśród założonego przezeń także dosyć ładnego ogrodu. Była to, jak wiemy epoka, gdy się wielce w naturze i ogrodach a dzikich promenadach kochano. Później pałacyk i ogród na długo zostały opuszczone. Utrzymywany był wprawdzie z pewnem staraniem o zabezpieczenie go od zupełnej ruiny, ale przez ciąg lat wielu ucierpiał niezamieszkanie.

Nie był on nigdy wystarczającym dla licznego dworu pańskiego i mnogiej rodziny, ale też spędzano w nim dawniej tylko parę miesięcy, gdy pańska fantazyja ścigała tu magnata.

Kilka pokojów i salka na dole, tyleż na pierwszym piętrze, mansardy dla służby, sutereny na składy i kuchnie, oficyna murowana składały z domkiem ogrodowym nieopalonym całe pomieszczenie...

Ogród chociaż zdziczał trochę, rozrósł się też, postarzał, co mu przyczyniało piękności — ale w pałacyku wiele naprawić było potrzeba. — Musiano dawać nowe posadzki, odnawiać poopadałe stukaterye, wstawiać spróchniałe okna na nowo.

Z tem wszystkiem dom nie był bez wdzięku, przypominał dawne czasy, miał swój styl właściwy, którego brak dzisiaj w budowlom.

Dla hrabiny matki, która wiele nie potrzebowała, dla syna jej wymagającego mniej jeszcze, pałacyk, był aż nadto wystarczający. Nie godził

się on tylko z imieniem i zamożnością rodziny, od której żądano, aby występowała wszędzie i zawsze stósownie do wysokiego swego społecznego stanowiska.

I to właśnie miano jej do zarzucenia, że ani matka ani syn nie pojmowali świętego obowiązku imponowania szolądom, których kilku obok siedziało.

Według tradycyjnej skali, hrabia a jeszcze taki hrabia milioner — powinien był trzymać co najmniej dwadzieścia kilka koni na stajni, mieć stosowną ilość służby próżniaczej, strzelców, kamerdynerów, marszałka dworu i t. p.

Tymczasem hrabia August miał tylko jednego wierzchowca, cztery mierzyny do powozu i konie piękne, ale nie nadzwyczajnej ceny, dla matki. Reszta ich niepozornych, folwarcznych w żadną wchodzić nie mogła rachubę. Kucharz był jeden i wcale nie sławny, kamerdyner stary i niepokaźny, dwóch lokajów bez liberyi i herbów — słowem, nie było się czem pochwalić.

Powszechnie więc sarkano na skąpstwo i uśmiejano się z niego.

Żaden z gości nie mógł się poskarżyć na przyjęcie, ale balów nie dawano, a wieczory i obiady były wprawdzie pańskie, a mimo to skromne.

Nie było tu tego, co występ stanowi, o czemby mówić można, coby obudzało podziwienie i zazdrość — a Niemcom sąsiadom staropolski prze-

psych i — polskie gospodarstwo (polnische Wirtschaft) przypominało.

W ogóle sposób życia hrabiny ostrej podlegał krytyce, o hrabi mówiono wprost, że go nie rozumiano. Choć ani matka ani syn nigdy się z niczem nie popisywali, mówiono z przekąsem, że chorowali oboje na nieczoność. Prawda, że w Angustówce książki i dzienniki nigdy ze stolików nie schodziły.

Wśród kraju, który obojga albo nie czuł potrzeby lub tolerował je tylko dla pewnej przyzwoitości — poważniejsze usposobienia raziły. Wyśmiewano oboje z angielszczyzny, zarzucano nawet kosmopolityzm, bo nie żyli tak, jak to się u nas żyło i żyć powinno.

Niektórzy surowszych zasad panowie, podawali w podejrzenie matkę i syna, że mogli być nieco nowymi doktrynami zarażeni. — Wprawdzie obojgu nic zarzucić nie było można, żadnego faktu przeciwko nim wynaleźć, ale gorliwości w nich było za mało.

Może i to cień rzucało pewien na hr. Augusta, iż pułkownik, brat cioteczny hrabiny matki, bywał tu częstym gościem, a godził się doskonale z siostrzeńcem i — z nim jedno trzymać musieli. Zaś pułkownik — był, jak mówiono, zacnym bardzo człowiekiem — ale owocem epoki, która wpływem francuskiej filozofii zatrutą została.

Towarzystwo nie zrywało stosunków ani z nim ani tem mniej z hr. Augustem, bo imię i fortuna ogromna kazała na wiele rzeczy patrzeć przez szpary — lecz, krzywiono się, sarkano... Gdy była mowa o nich, milczano, ruszano ramionami, potrząsano głowami — kiedy niekiedy cedzono przez zęby:

— Niepojęci!

Miano jednak nadzieję, że się opamiętają, nawrócą i ulegną wpływowi atmosfery otaczającej.

Wszystkie usiłowania wprowadzenia hr. Augusta w czynne szeregi zachowawcze — spełzły na niczem. Z chęcią przyczyniał się do rzeczy publicznie dobro na celu mających, ale naprzód nie występował nigdy.

Zajmował się pilno bardzo gospodarstwem, trochę polował, nie unikał ludzi, ale się zdawał pozbawionym wszelkiej ambicyi, tak, że prezydent wszystkich komitetów Zenio i mistrz ceremonii przy wszystkich obchodach uroczystych, hrabia Sławek — pozostali na swych stanowiskach, nie zyskawszy w nim sprzymierzeńca, ani mogąc nazwać go nieprzyjacielem.

Raziło ich to szczególnie, że hr. August tych ludzi, od których oni dla różnicy w opiniach uchodzili jak od zapowietrzonych, nie unikał wcale. Poznawał się z nimi, rozprawiał, a niekiedy nawet godził na ich wnioski, które dla Sławka i jemu podobnych potępione były już dla tego, że

z niemi przeciwnicy występowali. Słowem jednym — hr. August winien był przodkom, imieniowi i bogactwu, iż go już za nieprzyjaciela społeczeństwa nie ogłoszono.

Instynktowo wszyscy się godzili na to, iż, aby uratować nieszczęśliwego, jedynym środkiem było go ożenieniem połączyć z jedną z tych rodzin, których o żadną słabość posądzić nie było można.

Zapusty, które nastąpiły po pierwszym zjawieniu się hrabiego na scenie — choć nastęrczyć mogły zrzeczność zawiązania stosunków, zeszyły bezowocowo, gdyż hrabina matka i syn jej jeszcze się nie byli zupełnie urządzili w Augustówce.

Hrabina Marya głośno się z tem oświadczała, że to, co w świecie nazywano zabawami, ją, nudziło; hrabia August tańczył mało i za poważnym był do balów i kuligów.

Kilka razy jednak, wciągnięty prawie gwałtem, musiał odwiedzić znaczniejsze domy i znajdować się na zabawach.

Tej zimy występowała właśnie po raz pierwszy głoszona za cudo piękności, wychowania, do wciup, hrabianka Berta, zwana „złotowłosa“.

Była to córka jedynaczka rodziców, starej, dawniej niezamożnej szlachty, która i pracą i szczęściem i składem okoliczności nie wyświeconych dokładnie, w końcu XVIII wieku zaczawszy

się państwa dorabiać, doszła do olbrzymiego majątku.

Od dwóch pokoleń łączyła się też z najpierwszemi domami pańskimi, i choć imię jej nie miało przeszłości, już się liczyło do najgłośniejszych w prowincyi.

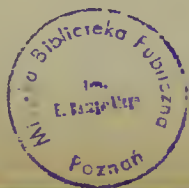
Berta złotowłosa była jedynaczką. Rodzice tem dumniejsi, iż zaledwie pół wieku dzieliło ich od bardzo skromnych wspomnień szlachectwa i dorobku, marzyli dla córki o losie jak najświetniejszym. Mitra co najmniej powinna była przyozdobić jej skronie.

Hrabia August, choć jej nie miał, ale jak Montmorency lub Rohan mógł się obyć bez tytułu — imię stało za wszystko.

Przybycie hrabiny z synem w te strony, gdzie złota owa gwiazda jaśniała — rodzicom panny niesłychanie próżnym a dumnym — poddało zaraz myśl — że August był jedynym godnym ich dziecięciem.

Zdaje się, że współcześnie złotowłosa Berta uważała za opatrnościowe zrządzenie losu, iż go tu dla niej umyślnie sprowadził.

Berta była jedynaczką, ulubioną ojcu i matce, cudnie piękną, wypieszczoną, wychuchaną, wychowaną przez najrozmaitsze bony, guwernantki, nauczycielki i nauczycieli w domu i za granicą, z tą myślą, ażeby w przypadku nawet na tronie zasiąść umiała; bo — rodzice się na to godzili,



iż godną go była. Z tego już wniesć można, na jakie cudo, cacko, na jaką uroczą wyrosła istotę — z najmocniejszym w główce przekonaniem, iż była wybraną, wyższą nad to, co ją otaczało — stworzona na losy — nadludzkie!!

Mogłaż być inną?

Padano przed nią od chwili, gdy w kolebce otworzyła oczy: godzili się na to wszyscy, iż piękność jej, rozum, talenta — były wyjątkowe, fenomenalne — anielskie mówili jedni, boskie powiadali drudzy.

Berta upojona kadzidły temi na świat występowała.

A była — nikt zaprzeczyć nie mógł, precudnie piękną roślinką, która w ciepłej szklarni rozkwitła jak wonna Orchidea...

Najlżejszy powiew chłodnego wiatru mógł ją zabić, ale czyżby taki akwilon ośmielił się jej dotknąć?

Nie zbyt słusznego wzrostu, kształtna, pulchniutka, biała, rumiana, niebieskooka, z włosami precudnemi, które rozpuszczone do stóp jej sięgały — wesoła, dowcipna, roztrzpiotana, — Berta liczyła dopiero rok ośmnasty, ale była daleko dojrzalszą, niż się zdawała. Obcowanie z guwernantkami różnego pochodzenia, dla ubóstwianego dziecka powolnemi do zbytku, — chwywane książki, samo wypieszczone wychowanie, które przedwcze-

sną sprowadza dojrzałość, na ostatek wrodzone zdolności — czyniły ją nad wiek rozwiniętą.

Instynkt niewieści dopełniał reszty i czynił z niej, przy powierzchowności naiwnego dziecięcia, najniebezpieczniejszą zalotnicę.

Kokieterya w tem dziecku uchodziła za — niewinną żywość...

Wszystkim bez wyjątku zawracała głowy, bawiła się tem, ale wiedziano dobrze, iż to był ów królewski kąsek, po który sięgnąć nie lada kto mógł się ośmielić.

Berta lubiła się bawić i nareszcie spóźnione umyślnie wyjście jej na świat uroczyście się odbyło na balu w Pomianowie u rodziców. Cały świat był uń sproszony...

Nie potrzebujemy mówić ani o pałacu ogromnym a brzydkim, ani o pańskim dworze, który był najwspanialszym w całej okolicy.

Hrabina matka i hr. August, skolidaceni z Pomianowem, otrzymali naturalnie zaproszenie u-silne. Wymówiła się od niego pierwsza niezdrowiem, ale hrabia pojechać musiał.

Zbyt zręczni byli oboje gospodarstwo i córka, aby mieli okazać hr. Augustowi, jakie uń mieli rachuby, jakie w nim pokładali nadzieje. — Berta jednak nie mogła wytrzymać, by się doń nie zbliżyć, nie błysnąć przed nim dowcipem, nie zacząć wzrokiem, nie pokazać mu, czem była. Trzymała go pół godziny na rozmowie — i była

najpewniejszą, że go zachwyciła. Piękność jej w istocie zrobiła na nim wrażenie — ale ta istota oranżeryjna, wybujała, sztuczna jakaś, którejby przyklaskiwał z całego serca na teatrze — i unosił się nad nią — ani na chwilę nawet nie pociągnęła go ku sobie sympatyczniejszem uczuciem. Hrabia Sławek ku końcowi wieczora zapytał go cicho, jak mu się podobała.

— Uroczą jest! czarodziejka! cudowna! — odparł hrabia August. — Piękniejszego cacka nie widziałem w życiu — ale jakże strach pomyśleć o tem, że ją los na próbę, na cierpienie wystawić może!

— Dla niej los nawet łaskawym być musi! — odparł Sławek.

Po tym balu parę razy jeszcze spotkał się August z czarodziejką, która zawsze nań była łaskawą bardzo — lecz spodziewane zajęcie się, zakochanie, oszalenie nie nastąpiło wcale, lub na jaw przynajmniej nie wyszło.

Nie rozpaczano, że przy bliższem poznaniu się, przyjść ono musi, bo złotowłosej Bercie nie się w świecie oprzeć nie mogło.

Z niezmierną zręcznością nie chcąc się zdradzić z tem, co było najgorętszem ich życzeniem, rodzice Berty obmyślali, jakby nieznacznie mogli ściągnąć hrabiego do siebie. Przestrzeń mil kilku dzieliła Pomianów od Augustówki. Hrabia Wit,

ojciec panny, dawał czasem wielkie polowania; zapraszano na nie choć trochę dalszego sąsiada; przybywał chętnie, bawił się doskonale, admirował śliczną pannę, lecz zbliżyć się do niej nie okazywał najmniejszej ochoty...

Tak stały rzeczy, gdy na wiosnę majątek o granicę od Augustówki, klucz szelchowski został wystawiony na sprzedaż.

Dla zaokrąglenia majątności hrabiego była to zrzeczność jedyna. Szelchów miał właśnie to, na czem Augustówce zbywało... Posiadłość, zawierająca w sobie do dziesięciu tysięcy morgów, była od bardzo dawna w rękach zamożnej, starej rodziny, która niegdyś liczyła się do pańskich, a teraz zeszała na prawie ubogą.

Nieboszczyk Szamotulski miał w temperamencie po przodkach tę bujność staropolską, która się niczem małym zaspokoić nie umie. Chciało mu się być panem, dorabiał się szturmem, spekulował szalenie, żył przy tem nad skalę i umierając żonie i jedynaczce córce zostawił już tylko ów Szelchów, mocno odłużony.

Umysłowo od niego wyższa, energiczna żona po zgonie męża wzięła się do gospodarstwa z u-

porem kobiecym, z sercem matki, która pracuje dla dziecięcia.

Ale ani rozum, ani poświęcenie, ani oszczędność nie mogły uratować tego, co chyba kapitał znaczny i trud długi potrafiłby był ocalić. Po kilku latach walki uporeczywej, nieszczęśliwa wdowa musiała się wyrzec nadziei utrzymania przy Szelchowie. Sprzedaż jego mogła jej jeszcze dać około stu tysięcy talarów, z którymi na mniejszem i nie tak kłopotliwem gospodarstwie spodziewała się pozostać niezależną i spokojną. — Szelchów więc na sprzedaż był przeznaczony.

Hrabia ani matka nie znali pani Szamotulskiej. Sąsiadka Augustówki nie szukała z nią stosunków i w ogóle ze światem miała ich mało.

Hrabina Marya wolala też samotność, z obu stron nie zrobiono kroku żadnego — i teraz dopiero August po raz pierwszy dosłyszawszy o sprzedaży, wybierał się obejrzeć majątek i poznać jego właścicielkę.

O niej i jej córce oficjaliści hrabiego tylko opowiadali, że panie te żyły dosyć odosobnione i zamknięte — i uchodziły za ekscentryczne.

Ponieważ hr. August miał po bytności we dworze objeżdżać pola, lasy i folwarki, wybrał się więc konno ze sługą tylko... chcąc, zameldowawszy się samej pani, puścić się zaraz na oględziny.

Dzień był piękny, wiosenny. Minawszy lasek, który odgraniczał Augustówkę od Szelchowa, hra-

bia wyjechał na pola i łąki. Znał trochę położenie majątku lecz nigdy mu się pilniej nie przypatrywał; teraz wszystko zwracało jego uwagę, grunta, rośliny, które go charakteryzowały, stan pól, rowów i t. p.

Jechał więc zwolna i zbliżał się ku łące, na której robotnicy około sprzątania siana zajęci byli, gdy tuż nad samą drogą postrzegł kogoś, który widocznie do gromady pracujących nie należał.

Jedna z kobiet grabiących siano zawiesiła była na przyniesionych z sobą drążkach kołobkę z dzieciąciem, osłoniwszy ją płachtą. Placz opuszczonej dzieciny zdaleka już słyhać było i w tej chwili właśnie idąca ode dworu pani czy panna, skromnie ubrana, z parasolikiem w ręku, krzykiem dziecka przywabiona przez rów się chciała dostać do niego.

Hrabia jechał powoli, niepostrzeżony przez nią, widział, jak z różnych stron zabiegając głęboki przekop chciała przebyć i zakłopotana n brzegu jego biegła.

Zbliżywszy się, mógł przekonać się, że to była osoba młoda, silnie zbudowana, zręczna, ale ze stroju wniesć było trudno, kto była. Nankinowy ranny szlafroczek z białemi obszewkami ją okrywał, także trzewiczki czy buciki miała na małych nóżkach, i parasolik do tego stroju dobrany. Przeszkadzało jej i to, że miała książkę pod ręką i pęk zbieranych roślin w dłoni.

Widząc ją tak zakłopotaną losem dziecka, które krzyczało coraz głośniejszą a matka go dosłyszeć nie mogła, hrabia nie namyślając się konia wstrzymał, skinął na służbę, zsiadł z niego i pieszo zbliżył się do nieznajomej.

Dopiero teraz go spostrzegła i zarumieniła się nieco, zdziwiona. Gdy główkę podniosła, hrabia ujrzał twarzyczkę świeżą, ładną, z oczyma śmiało patrzącemi, z wyrazem łagodnym razem i energicznym. Panienka mogła mieć lat około dwudziestu, a wszystko w niej okazywało pochodzenie pańskie. Tylko dumy, wyszukanego nic i sztucznego w niej nie było. Hrabia śmiejąc się uklonił się i prosił o pozwolenie przyjścia w pomoc do przebycia rowu.

— Daruję mi pani, że nieznajomy narzucam się jej z tą posługą... ale do dobrego uczynku zawsze dopomóż wolno, choćby nie zaprezentował się.

To mówiąc, przeskoczył rów, wyciągnął rękę, wskazał miejsce do przejścia, a nieznajoma, wcale się nie wahając, równie jak on wesoło, swobodnie przyjęła niespodziewaną pomoc... Okazała wielką zręczność i w jednej chwili była już za przekopem.

— Bardzo panu dziękuję! — rzekła głosem miłym i wesołym.

Było coś tak sympatycznego i obudzającego poszanowanie w tej panience, iż hrabia zapomniał się nieco, zapatrzwszy się na nią.

— Pani, jako niewątpliwie tutejsza, może mi nawzajem wskazać raczy, czy tą drogą wprost jadąc, dostanę się do dworu w Szelchowie?

Zapytana bystro i jakoś smutnie spojrzała na mówiącego, który dodał:

— Jestem z Augustówki...

Panna zarumieniła się i zmieszala.

— A ja... jestem z Szelchowa — odpowiedziała głosem trochę zmienionym, w którym coś tęsknego brzmiało. — Domyślam się, że pan hrabia chcesz zapewne oglądać majątek... Moja matka jest w domu.

Hrabia skłonił się grzecznie.

Panna oddała mu ukłon spieszenie i zwróciła się ku kołysce dziecka, które ciągle płakało.

Augustowi nie pozostawało nic jak przeskoczyć rów napowrót i jechać do dworu.

Obejrzał się parę razy ku pannie Szamotulskiej, ale ta stała schylona nad kolebką i chustką dawała znaki matce, aby do dzieciny pospieszała.

W pół godziny potem hrabia był na dziedzińcu dworu w Szelchowie, który jako dawna rezydencya rodziny możnej, pałacowato wyglądał. Zabudowania gospodarskie wielkie i piękne, ogród stary, jezioro, które z jednej strony doń wchodziło, miejsce czyniło bardzo wdzięcznem.

Nie było też znać zrujnowania ani w budowach, ni w gospodarstwie, wszystko było we wzorowym porządku. Około pałacu służba nieli-

czna i niewytworna go przyjęła. Stary sługa w powszednim stroju wprowadził do wielkiego salonu, zajmującego środek dworu.

Był on niegdyś za dobrych czasów umeblowany starannie, sprzęt kosztowny go zdobił, piękne obrazy a teraz i dużo kwiatów. Panowała tu jakaś cisza i spokój poważny; coś znamionującego życie wedle zdawna ustanowionego porządku, płynące trybem jednostajnym.

Nim hrabia August miał czas się rozpatrzeć, zaszleściła suknia i weszła niemłoda pani, czarno ubrana. z głową odkrytą, na której gładko przyczesane włosy siwiejące leżały. Twarz i wyraz przypominały niedawno widzianą pannę. Smutne ale godne oblicze poważne było i mimo wieku piękne jeszcze.

Zaprezentował się hrabia przepraszając, iż przybył w tak ранней godzinie, i oświadczając, co go tu sprowadziło.

Wdowa westchnęła, prosiła siedzieć, przez chwilę zdało się, że nie miała przemówić odwagi.

— Smutna to dla mnie ostateczność — rzekła w końcu — być zmuszoną sprzedać majątek, z którym tyle wspomnień się wiąże, który chciałoby się utrzymać w rodzinie. Ale rozum nakazuje poświęcić nieznacnie dla zabezpieczenia dziecku przyszłości... Pracowałam, jak umiałam i mogłam, zadanie przeszło siły moje.

Westchnęła.

— Dodam hrabiemu kogoś, co mu najlepiej pokaże wszystko — mówiła dalej.

W kilku słowach odpowiedziałwszy, hrabia chciał wstać i wyjść zaraz, ale Szamotulska go wstrzymała.

— Nim koń i przewodnik będą gotowi, dodała, proszę na małe śniadanie.

Rozmowa zawiązała się o majątku, którego przymioty i niedostatki z wielką otwartością opowiadała pani domu.

— W rękach waszych, panie hrabio — mówiła z rezygnacją — Szelchów połączony z sąsiednim majątkiem nabierze jeszcze wartości... Wolałabym go też wam sprzedać niż obcemu komuś — a w żadnym razie nie dam go Niemcowi.

— O nabywcę nie powinno być pani trudno — rzekł hrabia — a ja, choć nie stręcę sam, muszę wyznać z tego, com widział, przejeżdżając od granicy, że majątek jest w dobrym stanie!

— A! panie hrabio — przerwała z uczuciem wdowa — nadludzkim prawie wysiłkiem starałam się o to, aby mu nie dać upaść. Niestety! po wielu latach pracy ciężkiej muszę wyznać bezsilność moją. Kobieta, nie mogłam podołać wszystkiemu.

Łzy się jej potoczyły z ocz, które prędko otarła. W tem stary sługa oznajmił, że śniadanie było podane. Pani Szamotulska wstała i, wzięwszy rękę gościa, wprowadziła go do sali jadalnej.

W tej więcej jeszcze dawne czasy czuć było. Ściany zajmowały liczne portrety Szamotulskich, którym na dygnitarzach świeckich i duchownych nie zbywało. Zastawa stołu była staroświecka i pańska, ale taką, jak dni powszednich, nie widać było chęci popisu w niczem.

Śniadanie rozpoczynało się właśnie, gdy drzwiami z głębi weszła zarumieniona, z powrotem z przechadzki panna Nina.

Hrabia wstał powitać, a gdy matka ją prezentowała, odezwał się z uśmiechem, że na drodze już miał przyjemność się sam przedstawić.

Nina wesoło opowiedziała matce o swem spotkaniu, która nie znalazła w niem nic nadzwyczajnego i podziękowała tylko za pomoc hrabiemu.

Zdjawszy kapelusik i zasiadłszy do stołu, panna Nina w tym prostym rannym stroju, z twarzą zarumienioną jeszcze się wydała piękniejszą gościowi.

Nie była to jednak jedna z tych olśniewających bogiń, jak Berta złotowłosa, wypieszczonych i wydelikacowanych, ale dziewczę wiejskie, którego wdzięk stanowiła wielka naturalność, prostota i coś męskiego, co w sobie mają tylko nasze polskie niewiasty.

Nieznajomy młodzieniec wcale jej nie odbierał odwagi, przytomności, nie obudzał zalotności, nie trwożył jej ani mieszał. Wyřęczając matkę

zadumaną i smutną, zajęła się śniadaniem, hrabią, domem — i nie straciła swobody dui powszednich.

Dla matki i dla gościa widocznie starała się być wesołą, między córką a nią czuć było ów związek serdeczny, tę jedność ducha i myśli, które w rodzinie szczęście stanowią.

Uwaga jej ciągle zwróconą była na matkę, która nawzajem nią tylko była zajęta.

Gdy gdzieindziej hrabia po długim pobycie czuł się obcym i nie mógł zbliżyć się i porozumieć, tu szło mu jakoś łatwo. Tak, że po skończonem śniadaniu jak stary dobry znajomy pożegnał panią Szamotulską i jej córkę.

Wdowa chciała go namówić, ażeby, wracając nad wieczór, zajechał na obiad, z którym czekać obiecywała, ale August musiał odmówić dla matki, której przyrzekł przed wieczorem być z powrotem.

Cały dzień potem z dodanym panem rządcą, starym, kwaśnego usposobienia człowiekiem, objeżdżał pola, łąki i lasy i już późno bardzo mógł do Augustówki nadążyć.

Szelchów podobał się wielce hrabiemu i, gdy matka się go witając zapytała, jak go znalazł, odparł z westchnieniem.

— Niestety, majątek jest prześliczny, ale poznawszy jego właścicielkę, która się z nim z bo-leścią rozstaje, prawie się nie chce kupować. Rodzina bardzo sympatyczna.

Hrabina Marya zaczęła rozpytywać syna, który opowiedział spotkanie swoje z Niną, rozmowę z jej matką, wrażenie, jakie te panie na nim zrobiły.

Z rozmowy tej wypadło, że hrabina Marya znalazła koniecznem odwiedzić pierwszą sąsiadkę. Hr. August znajdował to również właściwem i ofiarował się towarzyszyć matce. Zdawało się im obojgu, że im w przykrzejszem położeniu majątkowem znajdowała się rodzina Szamotulskich, tem jej większe należały względy. Nie było winą jej, że ten los spotkał mężną i zacną niewiastę, którą wszyscy szanowali.

Poszanowania tego nikt jej nie mógł odmówić a pomimo to krzywiono się na panią Szamotulską. Nazywano ją dumną i dziwaczką. Nie dawała balów, nie wyjeżdżała z domu prawie, unikająca towarzystwa, była oszczędną, wszystko to za złe jej miano. Wychowała też córkę ekscentrycznie. Mówiono, że chyba z panny Niny chciała guwernantkę zrobić, tak ją niezmiernie uczono starała się wykształcić, a przy tem zamiast salonowego poloru nadała jej jakieś obejście się, które znajdowano *mauvais genre*. Śmiano się i z tego, że zajmowała się szkółką i ochronką we wsi, gospodarstwem, ogrodem, że chodziła swobodnie, sama, że miała gusta, jak się wyrażała hrabina S. — ordynaryjne.

Miano i to za złe Szamotulskiej matce i córce, że dwóch młodzieńców złotych, co się stręczyli do panny Niny, odprawiono z kwitkiem.

Słowem Szelechów nie był w łaskach ogółu, lecz nie zdawał się też o nie wiele troszczyć. Hrabina Marya jednego poobiedzia skromnym powozikiem pojechała do sąsiadki.

Nina z matką siedziały w ganku od ogrodu nad książkami i robotą, gdy niespodziani ci goście przybyli. Wszędzie indziej hrabiego Augusta przyjmowano z takim nadskakiwaniem, wysiłkiem grzeczności, z taką wdzięcznością i pochlebstwy, iż to go zrażało niemal od ludzi, pani Szamotulska i jej córka ani na chwilę nie zakłopotwały się, nie zmieniły tonu i nie okazały, ażeby ich ta grzeczność sąsiedzka nadzwyczaj poruszyła. Nie zdawały się też wcale rachować na nią wiele i chcieć ją wyzyskiwać.

Naturalność i uprzejmość, z jaką przyjęto ich, hrabinie Maryi uczyniły te odwiedziny przyjemnymi. Dwie matki uczuły dla siebie sympatyą, br. August bez przymusu i swobodnie rozpoczął rozmowę z Niną i po wymianie kilku myśli mógł już ocenić jej wykształcenie a nadewszystko brak wszelkiej zalotności i powagę w młodej panience rzadką, wcale jej nie odejmującą wdzięku.

Odiedziny może byłyby dla pani Szamotulskiej miłsze jeszcze, gdyby ich nie zatrąła ta myśl, że hrabina i syn jej w istocie przybyli

obejrzyć dwór, miejscowość... ogród — wszystko to co prawdopodobnie wkrótce miało przejść na ich własność. Myśl ta zasępiła trochę czoło gospodyni...

Chcąc coś pewniejszego dowiedzieć się od hr. Augusta, zagadnęła go wkrótce o to, jak mu się Szelchów podobał.

— Majętność jest piękna, odparł hrabia — ale zdaje mi się, że pani nie powinnaś się jej pozbywać.

— Muszę — rzekła Szamotulska z westchnieniem.

— Ja właśnie, choć przeciw własnemu interesowi, rzekł hrabia, chciałbym panią przekonać, że bez tego heroicznego środka obejść się można.

Wdowa zarumieniała się nieco.

— O tem, jeśli pani pozwolisz, pomówimy innym razem, zakończył hrabia. Proszę tylko nie starać się o nabywcę, uważać tę rzecz jak za skończoną ze mną, w każdym razie, a ja przekonam, zdaje mi się, panią, że obawa jej jest zbyteczną... i że Szelchów przy niej zostać może.

Szamotulska nie mogła się wstrzymać od żywego poruszenia. Twarz się jej rozjaśniła, złożyła ręce.

— A! zawołała — byłoby to prawdziwe dobrodziejstwo — ale, panie hrabio — ja też mam dumę, i wiem, com winna pamięci męża... byłoby dla mnie upokarzającym, zawdzięczać to...

— Pani wcale i nikomu nie potrzebujesz zawdzięczać — odezwał się hrabia — oprócz przyjacielskiej rady.

Na tych kilku słowach skończyło się o Szelchowie, lecz z humoru gospodyni i jej córki poznać było można łatwo, jaką wdzięcznością przejęte były za tę trochę nadziei.

Reszta wieczora zeszła na przechadzce po ogrodzie i swobodnych rozmowach o rzeczach obojętnych. — Pokazując swój ogród, Szamotulska kilka razy miała łzy w oczach, pelen był wspomnień, drzew sadzonych przez męża, przez nią, pamiątek różnych... Z takiego miejsca, z którem zrosło się życie — być zmuszoną w obcy świat wędrować — jest boleścią, którą każdy pojmie łatwo. Samo przypuszczenie wygnania z tego cichego rajn, matkę i córkę mieszało... chociaż obie starały się jak mogły ukryć, co doznały.

Odwiedziiny przeciągnęły się trochę długo, ale pożegnanie dwóch sąsiadek, które się lepiej poznały, było bardzo serdeczne.

Hrabina Marya zaprosiła Szamotulską na obiad do siebie na dzień następujący...

Tak zawiązały się stosunki sąsiedzkie tem ściślejsze, że hrabia August, który miał szczególną zdolność jasnego rozpatrywania się w interesach zawikłanych — skuteczną dał radę pani Szamotulskiej do utrzymania się przy Szelchowie.

Jeden folwark leżący na skraju potrzeba było poświęcić i kawałek lasu, aby resztę oczyszczoną ze zbytnich ciężarów zachować.

Plan był tak jasny i do wykonania łatwy, iż p. Szamotulska zgodziła się nań. Ludzie zainteresowani usilowali jej wprzód dowieść, że taki podział majątku był niemożliwy, hr. Angst przekonał się, iż stosunkowo był nawet korzystny.

Węzłem więc wdzięczności też związały się dwa domy sąsiedzkie, a hrabiego o żadne widoki na pannę Ninę posadzić nie było można, gdyż często oddalał się z domu, rzadko bywał w Szelchowie, a stosunki jego miały cechę przyjacielską, poufałą, i żadnej zalotności i zalotnictwa z obu stron dostrzedz w nich nie było podobna. Panna Nina przyjmowała hrabiego wesoło, nie rumieniąc się, nie mieszając, w oczy sobie patrzyli śmiało, nie szukali samotności do rozmowy, i to co mówili, głośno przy tysiącu osób powtórzyć się mogło.

A jednakże dla Szelchowa przyjaźń hrabiny stała się potrzebą i warunkiem życia, a w Augustówce po dwu dniach tęskniono za Szamotulskimi, gdy ich nie widziano.

Hrabia Wit, ojciec Berty złotowłosej, był jednym z tych ludzi, o których coś stanowczego wyrzec nadzwyczaj było trudno. Nie miał ani wybitnych przymiotów ani wad wielkich, — zgadzano się na to, że natura skąpo go wyposażyła, nie sięgał też myślami wysoko, ale w życiu miał takt wielki i tym się trzymał.

Pomimo ochoty występowania po pańsku, która mu wspólną z była żoną, rządził się w majątkach doskonale i nie tylko nie tracił, ale dorabiał się jeszcze. Chociaż nie skłonny do pomagania drugim, umiał się tak zręcznie wywijać, gdy od niego czegoś wymagano, iż nieprzyjaciół sobie nie robił.

Przyjaciół nie miał serdecznych, ale to mu na korzyść wychodziło, gdyż — ponęcała przyjaźń zawsze na ofiary naraża, zwłaszcza w kraju, w którym wszyscy niemal na nogach się chwieją i wszystkim pomagać potrzeba.

Takt dawał mu zawsze poczuwać grożące niebezpieczeństwo wszelkiego rodzaju i cofać się od niego w porę a po cichu.

Hrabina Witowa, daleko bystrzejsza od niego, mówiąca wiele, grająca dosyć szczęśliwie rolę wielkiej pani, nie miała taktu męża i uważała się za daleko wyższą od niego, choć w istocie wymową tylko nad nim celowała. Niegdyś bardzo piękna, dziś ruina, ale zawsze wspaniała — hrabina miała się za głowę domu, choć nią nie była. Rządzi-

ła nią córka, ulubienica, przyjaciele domu a w ostatku i małomówny mąż, który we cztery oczy robił jej skuteczne uwagi, gdy widział, że się zbyt nierozważnie zapędziła.

Przybycie hr. Augusta oboje małżeństwo jedną myślą natchnęło, której ostrożny mąż nie objawił głośno, lecz gdy mu ją żona poddała, milcząco zgodził się na nią. Berta złotowłosa bądź co bądź powinna była pójść nie za kogo innego jak za Augusta. Oboje małżonkowie zgodzili się na to pod sekretem, ale matka badając córkę, wydała przed nią tajemnicę i — okazało się, że Berta też samą myśl już żywiła.

Obudziło to w mamie tem większe uwielbienie dla córki, że August zachwycającym nie był. A ten zaledwie rozkwitający pączek miał już tyle, tyle roznemu — takie pojęcie życia i obowiązków, że gotów był się poświęcić dla — imienia i majątku, dla stanowiska świetnego.

Matka wyznanie ciche córki usłyszawszy, rozplakała się i o mało ją w nściskach nie ndusiła. — Ten anioł! powtarzała łkając...

Ten anioł w istocie żył już nie sercem ale główką...

Możnaż było przypuścić, że hr. August nie zakocha się w niej szalenie? Po dwóch czy trzech spotkaniach, gdy oczekiwana miłość nie przybyła, zdumienie było wielkie — ale, nie rozpaczano.

Jawnem się stało dla hrabinej Witowej, że tej miłości potrzeba było dopomódz trochę do rozwinięcia się, ale bardzo zrećźnie i w ten sposób, ażeby dostrzedz się to nie dało.

Ze swej strony hrabina miała różne myśli i plany, gdy milczący Wit, nie mówiąc o tem nie żenie, szedł także w tym samym kierunku. Mówiliśmy już, że nieprzyjaciół nie miał a przyjaciół starał się uniknąć jako niewygodnych dla kapitalisty...

Jednym z tych sąsiadów, z którymi się żyło dobrze i na tej stopie, że do poufalszych stosunków zawsze z niej przejść było łatwo — był hrabia Toni, koniarz, karciarz, zadłużony ekwilibrysta, który trzymał się na majątku jak akrobata na linie w powietrzu, mogąc co chwila kark skrócić — a nie spadając dzięki sztuce, z jaką balansować umiał.

W tym czasie właśnie trafiło się, że hrabiemu Toni wierzyciel nielitościwy siadł na gardle i groził skandalem, awanturą, subhastą dla głupich dziesięciu tysięcy talarów. Toni nie miał kredytu tylko u lichwiarzy, ale ci go właśnie gubili.

Hrabia Wit, na którego patrząc, można było przysiąc, że o Bożym świecie nie wiedział — doskonale o wszystkich okolicznościach sąsiedzkich bywał zawiadomiony. Położenie Toniego nie było dlań tajemnicą.

Jednego dnia, gdy hrabina Witowa z córką wyjechały do stolicy prowincyi, Toni odebrał zaproszenie na małe polowańko.

Nie było w tem nic dziwnego, bo hrabia Wit zapraszał chętnie dla popisu z psami, końmi i kuchnią...

Gdy kochany sąsiad przybył, okazało się, że coś nadzwyczajnego przeszkodziło polowaniu, Toni jednak został na obiedzie i we cztery oczy zaczęła się rozmowa.

Znając sąsiada z jego nieuczynności, zdziwił się niezmiernie Toni, gdy mu Wit otwarcie powiedział, jak z wielką przykrością przypadkiem zasłyszał o jego kłopotcie, i ofiarował się wierzy ciela spłacić, wchodząc w jego prawa a zaręczając cierpliwość.

Toni zdumiony, osłupiały, poruszony, nie wiedział, jak dziękować. Nazwał go swoim zbawcą.

Rozmowa prawie nagle skreśliła się tak, iż gospodarz zażądał słowa honoru i wzajemnej pomocy w rzeczy poufnej — tajemnej i t. p.

Toni zaprzysiągł na wszystko i przyrzekł iść w ogień i wodę.

Nadzwyczaj trudno przyszło Witowi wykrztusić wielką swą tajemnicę.

W końcu jednak odkrył ją przed sąsiadem. Wzywał go poufnie, aby mu do napędzenia w sieci Berty hr. Augusta pomagał.

— Nie wstydzę się tego — rzekł — iż rad-
bym wydać córkę za niego, bo ma za sobą wszyst-
ko — a znowu Berta...

— Króla warta! słowo daję! — zawołał Toni. —
To para, którą Bóg stworzył dla siebie.

Wit mówił powoli i trochę się jękał.

— To jest rzecz wiadoma — rzekł — że zby-
tnie zabiegi najczęściej szkodzą... Trzeba poczynąć
nadzwyczaj zrecznie! nadzwyczaj...

— Zostaw to hrabia mnie! Ja dokażę tego
tak, iż nikt się nie domysli w świecie — odparł
Toni.

Zdaniem sąsiada potrzeba było zbliżyć ich.
Na to nie znaleziono lepszego sposobu nad kil-
kodniowe, wielkie polowanie połączone z balen.
Hr. August — za to ręczył — musiał przybyć.
Tu nastąpiło wyznanie smutne, iż kilkodniowa
feta, człowiekowi, który się mógł (jak mówił)
zblażnić, musiała wiele kosztować, ale Wit dał
znak porozumienia — brał to na siebie. Szło o
jego sprawę, musiał naturalnie koszta ponosić.

Właśnie jesień nadchodziła, ułożonem więc
zostało, że Toni urządzi zabawę — co się zowie,
a w czasie niej znajdą się sposoby zbliżenia tych,
których chciano połączyć.

Narada trwała dosyć długo a Toni wyjechał
z niej w złocistym humorze, wolen od doskwie-
rającego długi, pewien, że zabawa postawi go
dobrze w opinii, która chwiać się zaczynała co

do jego stosunków majątkowych. Chociaż wiązało go słowo honoru, iż zachowa tajemnicę, Toni nie mógł skutecznie działać bez współpracownictwa żony, córek a nawet i innych kolaboratorów, ale zdawało mu się, że gdy od nich pobierze słowa honoru, wszystko będzie w największym porządku...

Żona jego, znana pod imieniem Neidy (Zejnejdy) — niesłychanie żywa, wesoła i potrzebująca intrygi do życia, nadawała się cudownie do współpracownictwa. Jej więc naprzód w gabinecie *à huis clos* zwierzył się wszystkiego. W to mi graj! uszczęśliwioną była i wzięła sobie za punkt honoru małżeństwo doprowadzić do skutku.

Natychmiast jednak zażądała od męża koni, potrzebowała poprzedzić dramat prologiem przygotowawczym. Czarnooka, chuda, śniada, gorączkowa, niepohamowanie mówić lubiąca, śmiała, niezłękliwa pani Neida miała wszystko, co było potrzeba, aby sprawę uratować lub zgubić. Miała się jednak za niezwyciężoną w niewinnej intrydze.

A mogłaż być uczciwsza i niewinniejsza nad prowadzącą do ołtarza dwie istoty wyraźnie stworzone dla siebie!

Gdy po trzydniowej wycieczce pani Neida powróciła do domu, była tak zmęczoną, że padłszy na kanapkę, dobrą chwilę mężowi czekać kazała na sprawozdanie.

— Pierwsza rzecz! zawołała odzyskawszy siły — potrzeba płac oczyścić! Już tam ta *Sainte Nitouche* ze swą Ninką zarzuciła sieci.

— Kto? co?

— Szamotulska!... Ale tak! tak jest — mówiła terkocząc jak młynek p. Neida. — Wiem wszystko! Intrygę poprowadziła nader zręcznie. Wystaw sobie, że niby miała Szelchów sprzedąć... zwabiła tem hrabiego Augusta. Wiedząc o dniu przybycia, panienska w toalecie pełnej prostoty wyszła z książeczką w pole. Spotkanie!! Hrabia pomógł do przebycia rowu. Znajomość i stosunki... Szelchowa już nie sprzedają, ale mama z córnią mało nie codzień w Augustówce i hr. August, jeżeli nie zajęty, to rozmarzony.

— Ale gdzież ta Nina, cudak jakiś chodzący po chłopskich chatach dla oryginalności, podobna do prostej wiejskiej dziewczyny, ni z pierza ni z mięsa może wytrzymać porównanie z Bertą złotowłosą?

Miedzy małżonkami żywa rozpoczęła się rozprawa o różnych powabach niewieścich, gustach i t. p. Pani Neida stała przy swoim, iż koniecznie trzeba było matkę hr. Augusta rozezarować co do Szamotulskich. Tak się to zwało w jej języku. Trudność była w tem, że pani Szamotulskiej nie zarzucić nie było można. Nawet potwarz się jej trudno jać mogła, życie było jawne, spokojne, czyste.

Małżeństwo spierało się jeszcze, gdy niezmiernie rzadki tu gość, pułkownik zjawił się w salonie.

Służący wbiegł go oznajmić.

— A, to go tu Pan Bóg nam zesłał! — zawołała Neida. — Idź, baw go, ale ani słowa o Szamotulskich, bo ty mi wszystko popsujesz, zostaw to mnie. Ja będę wiedziała, jak go nastroić.

Pułkownik, który Toniego nie lubił, przybywał w istocie po konia, którego potrzebował i z góry to oświadczył — dosyć niegrzecznie.

— Sprzedasz ty mi brudno-kasztanowego twojego czy nie? — odezwał się po przywitaniu. — Czasu *ma foi* nie mam. Mów, to i ciebie nudzić nie będę, bo widzę, że i żona twoja dopiero z drogi. Ambaras ci zrobię...

— Żadnego! najmniejszego w świecie! — odparł Toni. — Pułkownik n mnie jesteś rzadkim gościem, ja tak łatwo nie puszcę.

— Ale! Błaga! — rzekł stary wojskowy — co tobie po mnie? albo ci to na gościach zbywa?

Dał się jednak pułkownik uprosić na obiad nadzieją nabycia owego brudno-kasztanowego. — Natychmiast poszli do stajni, kazano go wyprowadzić. Samulski miał oko dobre, brudno-kasztanowaty maścią, wzrostem i budową przychodził, jak ułał, do jego trójki.

Toni sam go wprawdzie potrzebował. Koń był niezrównany, nieoceniony — krwi wschodniej,

temperamentu osobliwego... na wagę złota go kupować — ale dla kochanego pułkownika...

Stary śmiał się z kochania tego.

— *Verbum personale!* żyd czy pułkownik zapłacą ci dobrze! odezwał się — co to między koniarzami mówić o przyjaźni!

Pani Neida, która im mocniej brzydła, tem się dziwniej stroiła, wyszła do stołu z córkami, naczepiawszy na siebie, co tylko ją mogło straszniejszą, niż była, uczynić.

Przy obiedzie wesoło rozmawiano o różnych rzeczach obojętnych, a przy czarnej kawie złożyło się tak jakoś, że córki się powysnwały — i Toni musiał wyjść na chwilę.

Neida przysiadła się do starego pułkownika, który chętnie z nią rozmawiał, bo żwawo odpowiadała i zbytnią bojaźliwością niewieścią nie grzeszyła.

— Dobrze, że jesteśmy sami — odezwała się pochylając się poufale ku niemu. — Niech też mi pułkownik powie, prawda to, co głoszą, że ten nasz feniks, hr. August, zajęty być ma Szamotulską?

Stary się rozśmiał.

— Któż to pani powiedział? — zapytał. — Gucio? zajęty? a tożby coś było nowego?

— Babusia nadzwyczaj-bo zręcznie poprowadziła intrygę — dodała Neida.

— Jaką? — badał coraz więcej zdumienia okazujący pułkownik.

Tu, zręczna gosposia bardzo dowcipnie opowiedziała bajeczkę o symulowanej sprzedaży Szelchowa, o spotkaniu na grobli, o zawiązanych stosunkach.

Marszczył się stary słuchając.

— Pani kochana — zawołał, gdy skończyła — ja znam Szamotulską od lat dwudziestu kilku... mogę powiedzieć, że ją znam lepiej niż inni. To do niej tak niepodobne, jak gdyby ktoś o mnie skomponował, żem ja się stał pochlebcą i pasożytem. *Cré nom!* To matrona najzacniejsza w świecie!

— Któż przeczy! — przerwała Neida — ale gdzie chodzi o los córki, o taki los, tam, wierzaj mi pułkowniku, nie ma matki, która by nie była gotowa popelnić *une petite bassesse!*

— Nie, — zaprzeczył Samulski — nie, to być nie może.

Widząc, że nie przekona, pani Neida zakłęła go, aby tego z czem mu się zwierzyła, nie powtarzał nikomu, lecz zarazem upewniła, iż faktem było, że najściślejsze stosunki zawiązały się między hrabiną Maryą a Szamotulskimi.

— A przyznam się pułkownikowi, dokończyła, że dla hr. Augusta panny Szamotulskiej za mało. Ten człowiek ze swem imieniem, wychowaniem, majątkiem, godzien czegoś lepszego.

— Co pani lepszem nazywa? spytał zimno stary.

— Jako, pan pułkownik obejrzawszy się nie widzisz tego, zawołała żywo gospodyni, iż dla niego tu jest jedna tylko para stosowna, jedyna i możliwa.

— Któż i kto?

— Hrabianka Berta!

Stary głowę spuścił.

— Cudnie piękna, odparł — i majątna, ślicznie wychowana, nie przeczę, dom godny, ale widzę, że pani nie znasz wcale Augusta i jego matki.

Neida mocno otwarła oczy.

— Oni, kochana pani, mają swój własny sposób zapatrywania się na świat i sądzenia ludzi. Co nam się wydaje świetnem i wielkiem, dla nich jest małym... i przeciwnie.

Rozmowa skończyła się na tem, bo pułkownik wstał zaraz kwaśny i zwrócił ją w innym kierunku. Gospodyni czuła, że się jej nie udało lecz rzuciła podejrzenie przeciw Szamotulskiemu. tymczasem i to starczyło.

Pułkownik nabywszy brudno-kasztanowego, wyjechał zaraz.

W Augustówce chociaż był niedawno, tak się uczuł zaniepokojony plotką, którą od pani Neidy posłyszał, iż trzeciego dnia ruszył do siostry.

Nie zastał jej w domu; powiedziano mu na wstępie, że była w Szelchowie, ale Gucia znalazł w jego biblioteczce nad jakąś książką. Prawie mu to było na rękę. Po krótkim wstępie, nie nawykły nic długo trzymać za pazuchą, odezwał się:

— Powiedz-że ty mnie, Guciu, czy to prawda, co ludzie plotą, że Szamotulska udała, iż Szelchów sprzedaje, aby cię do siebie zwabić, a córkę wysłała, gdyś jechał na groblę gdzieś dla uczynienia romansowej z tobą znajomości!

Hr. August zerwał się z krzesła jak oparzony.

— Któż śmie coś podobnego zmyślać? zawołał z oburzeniem. To wprost sensu nie ma! Szelchów w istocie był do sprzedania i ja tylko wstrzymałem biedną wdowę od tego, by się niepotrzebnie, z obawy nie pozbywała majątku, po którymby całe życie płakała!

Co się tyczy spotkania na grobli, niepodobieństwem jest, aby panna wyszła umyślnie, bo ani ona, ani ja sam nie wiedziałem, kiedy tam będę, *c'est infame!* dokończył hrabia.

Pułkownik odetchnął.

— Byłem tego pewny! rzekł. Już cię zazdrośne kumoszki żenią z tą Niną.

August się z lekka zarumienił ale dodał chłodno.

— I to nie ma sensu! Cienia żadnego stosunku czulszego między nami nie ma. Panna jest ro-

zumna, miła, ale chłodna jak lód, a ja, wujaszek znasz mnie, do zakochania się też skłonny nie jestem!

— To i dobrze! odpowiedział pułkownik urywając rozmowę.

Wieczorem nadjechała hrabina, ale przed nią o tem, co słyszał, nie powiedział pułkownik ani słowa. Baczny postrzegacz od razu z tego, co mówiła o Szelchowie, poznał, iż kochała sąsiadkę i cenić ją umiała. Chwaliła też bardzo Ninę...

Z tego wszystkiego wniósł stary, iż sąsiedztwo jaśniej może widziało następstwa tych stosunków niż siostra i siostrzeniec. Nie miał zwyczaju mieszać się w sprawy cudze a szczególnie sercowe, nie zagadnął więc już nawet o Szamotulskich i nie byłoby mowy o nich, gdyby oburzony jeszcze August nie powtórzył przy nim matce potwarzy, jaką zmyślono na nich.

Gniew hr. Augusta niczem był przy tem, jakim wybuchła jego matka, posłyszawszy o niegodziwych posądzeniach... Z oburzenia przeszła do płaczu i długo jej uspokoić nie było można.

Zaczęła wychwalać sąsiadkę, jej córkę, dom ich, ciche cnoty, skromność, z jaką je pełniły, unikając ócz ludzkich. Zazdrość tylko mogła coś podobnego stworzyć.

Pułkownik śmiał się i szydził.

— Nie ma nic dziwnego — rzekł — że zmyślają takie androny, bo im idzie o Gucia! Panika

ogromna, ażeby się nie ożenił z szlachecianką, gdy tyle hrabianek na niego czeka.

— Bardzo życzę sobie, ażeby się Gucio ożenił, odparła hrabina, ale pierwszym warunkiem, aby sobie sam wybrał żonę, i pokochał... Nie ma potrzeby na nic się oglądać, imię jego nowego blasku nie wymaga, majątek nie potrzebuje posagu, tylko on dla siebie szczęścia.

— A że o to trudno jest — westchnął August — ja się wcale z wyborem spieszyć nie myślę.

Pułkownik, obróciwszy w żart to wszystko a nie chcąc się mieszać w sprawy matrymonialne, zagadał o czem innem.

Skutkiem plotki, którą tu przywiózł, było tylko, że stosunki z Szelchowem stały się niemal ściślejsze jeszcze. Hrabina matka lękała się, żeby słuch o tej potwarzy nie doszedł do Szamotulskich i nie oddalił ich od nich.

Nawykla była do towarzystwa dwóch tych pań, które kochała, drżała na myśl, aby się ta przyjaźń nie rozerwała.

W pierwszych dniach po bytności pułkownika mowa była kilka razy o tem jeszcze, później wrażeń nie się zatarło. Zapomniano o niegodziwej potwarzy.

Zbliżał się tymczasem dzień naznaczony na owo polowanie z tańcami u Toniego.

Oboje państwo przybyli jak najusilniej zapraszać hrabinę i syna jej, zaręczając, iż za najwię-

kszy zaszczyt uważać będą, jeśli ich łaskawie swą bytnością uszczęśliwią.

Hrabina Marya stanowczo odmówiła a hr. August płacąc za matkę i siebie, przyrzekł, iż stawić się starać będzie.

Pani Neida korzystała z tej bytności i zbliżenia się do hrabiny, aby ją wybadać, by się jej przypodobać. — Oboje się nie bardzo powiodło.

Gdy wyjechali za bramę, odezwała się do męża:

— Pomimo wielkiego imienia w tej kobiecie czuć jej pochodzenie! Nie pańskiego! paraflaństwo niesłychane. W domu skąpstwo posunięte do niezmiernienia. Ani liberyi, ani porządnego kamerdynera a co za stół!

Przyznam ci się — dodała, robiąc minkę pogardliwą — że biednej Bercie, jeżeli za niego pójdzie, ani mamuni ani losu nie zazdroszczę.

— Mówisz: jeżeli pójdzie! — przerwał Toni — powinna i musi pójść, choćby się do ostatecznych środków przyszło uciekać.

Neida ruszyła ramionami.

— Jakich ostatecznych? — zapytała.

— O tem mnie wiedzieć — dokończył mąż tajemniczo. — Gdy wy, baby, wyczerpniecie wszystkie wasze, natenczas ja z mojami wystąpię. To się musi stać! ale i Bertę trzeba wystylizować, aby umiała i wiedziała, jak ma sobie postąpić.

Pani śmiać się zaczęła szydersko.

— Naiwny jesteś — zawołała. — Ta dziewczyna ciebie, mnie, papę i mamę nauczyła by jeszcze... a sama od nikogo nie potrzebuje lekcyi! Pan Bóg jej dał taki instynkt i taką wrodzoną kokieterią, że gdy zechce, kamienie dla niej będą tańczyły a lody zapalały się płomieniem...

Ty jej jak ja znać nie możesz! My wszystkie mamy od Boga dany dar wodzenia i uwodzenia was, ale ona!!

Bądź spokojnym, Toni, niech się tylko zbliżyć może do niego, niech nikt jej nie przeszkadza, a jeżeli głowy nie straci, nie padnie i nie będzie błagał miłosierdzia — to mi głowę utnij!

— Cha! cha! — rozśmiał się Toni — dodałaś mi otuchy! Bądź co bądź, Wit tego chce, Wit mnie jednemu ufa i ja to dla niego zrobić muszę! Naówczas dźwignie nasze interesa i — staniemy znów — na aksamicie!

— Co daj Boże, Amen! — szepnęła żona. — Ja w Bertę tak wierzę, iż ani wątpię, że, co zechce, dokona. Czarownica jest!

Dom, w którym całe sąsiedztwo na mil dzień do koła zebrać się miało na trzydniową zabawę a, jak się niedowiarek i szyderca pułkownik

wyrażał — na czterdziestogodzinny szal — zaledwie mógł objąć tak liczne towarzystwo.

Dwór był duży, z głównej strony od dziedzińca opatrzone w zwodniczą fizyognomią, ale ani zbyt obszerny, ani zbyt elegancki. Na pozór wielkim się zdawał, lecz składając się z przybudówek i klatek, miał tyle sieni, kurytarzy i nieużytków, iż oprócz dwóch średniej wielkości salonów i paru pokoi nieco obszerniejszych, reszta na mało co się gościom przydać mogła...

Pretensyi w nim więcej było niż smaku, a stan interesów nie dozwalał od dawna wdawać się w odświeżenia. Po staropolsku jednak, gdzie gospodarstwo gościnni byli, nie zważano na to...

Toni lubił występować i dawniej bawiono się tu jak nigdzie szumno, wesoło, wykwintnie — od niejakiego czasu jednak przymusowa oszczędność była widoczna...

Zasłyszawszy o trzydniówce, na którą ich zapraszano, sąsiedzi uwiadomieni dokładnie o stanie interesów gospodarza, o owych dziesięciu tysiącach talarów i t. p., łamali głowy, zkąd mogło się zebrać Toniemu na ochotę tak kosztownej zabawy. Domyślano się w tem jakiegoś celu, tajemnicy, zagadki, ale nie posądzał nikt hrabiego Wita, ażeby miał ponosić wydatek za sąsiada i mógł mieć w tem interes jaki.

Lecz że u nas wszelka zręczność zabawienia się wesoło witaną bywa z wdzięcznością, nikt się

tak bardzo nie troszczył o pobudki, które nadrujnowanego człowieka skłoniły do nieopatrznego kroku. Bercik powiadał uśmiechając się: Nie bójcie się, ma on rozum, naprzód córki chce pokazać ludziom, a nuż je kto weźmie, potem myśli że tem oszuka i dowiedzie, że nie jest tak goły, jak sądzą.

Wedle programu, zabawy zaczynać się miały we wtorek od balu albo raczej tańczącego wieczora, nazajutrz rano zapowiedziane było wielkie polowanie, po którym obiad, tańce i wieczerza, nakoniec dnia następnego łowy powtórne, wieczór znowu i jeszcze nazajutrz na rozjezdne śniadanie.

Zaproszonych osób, bo chodziło o to, aby było tłumno, liczono do stu. Przygotowania poczyniono zawczasie, a że pomiędzy zaproszonymi było wiele gąb popsutych, wina i kuchni musiały być w najlepszym gatunku. Kucharza pół francuza pożyty w pomoc domowemu ksiączę, piwnicę doborowemi trunkami zaopatrywał restaurator, u którego zwykle się w mieście zbierano. Był tylko tak cynicznie niegrzecznym, iż wymówił sobie natychmiastowe zapłacenie rachunku pod pozorem, iż — ma terminu pilne.

Chcąc dwie przy jednym ogniu upiec pieczenie, pani Neida dwie starsze córki, podobne do niej, dosyć ładne, żwawe panienki za wczasu przygotowała do roli, jaką miały odegrać, i postarała się dla nich o wykwintne stroje.

Około południa we wtorek poufalsi goście, półdomowi, którzy mieli gospodarzowi dopomagać zaczęli się już ściągać. We dworze panował niepokój, trwoga, latanina taka, iż wszyscy głowy tracili. Choć miano dosyć czasu do przygotowania się, jak za zwyczaj odkładano wszystko do ostatniej godziny, i w tej ostatniej więcej było do czynienia, niż jest w ludzkiej mocy podołać. Wszyscy gniewali się i burczeli, począwszy od klucznicy, pani aż do pana, który groził łozami kuchcikom kulakami rozstrzygającym spory między sobą. Każdem oknem ktoś kogoś opóźnionego z czemś wyglądał.

Mnóstwo rzeczy w porę nie dostawiono. Ponieważ służba miejscowa nie była wystarczającą, znaczna jej część zapożyczona obracała się jak z łaski, a nie można było nawet bardzo jej napędzać.

Pani Neida była zachrypła, Toni zmęczony śmiertelnie i gdyby nie Cognac, którym sobie sił dodawał — od dawna by padł ze znużenia.

Powoli jednak jako tako wszystko się ściągało, oddychać zaczęto swobodniej. Nadjechała i muzyka z miasta, którą naprzód musiano nakarcić i napoić na folwarku, aby w późną noc wytrwać mogła.

Ku wieczorowi zaczęli się zjeżdżać goście ze wszystkich stron, którym choć niezbyt wygodne obmyślano pomieszczenie. Panie szły się zaraz

przebierać, panowie tymczasem w opróżnionym pokoju gospodarza palili cygara, pili wino i ci, którym było pilniej, posiadali do wista, ekarte i djabła.

Gospodarza tu musiał wyręczać siostrzeniec, akademik, który w jednym z uniwersytetów niemieckich kończył studia prawne, młody bursz, mówiący jeszcze po polsku lecz duchem i obyczajem już Niemiec. W rozmowie mięszał, łątając się francuszczyzną, niemczyznę i z trudnością mógł sobie dać radę.

Salony napępniały się powoli, w jadalnym przygotowywano herbatę, przy której panny gospodarowały. Pani Neida witała przybywające damy, odprowadzała je do ich pokojów i ubrane a wyświeżone wiodła do salonu. Znużona była, zaczerwieniona i wcale nie okazywała dobrego humoru.

Powtarzała po cichu mężowi:

— Zobaczysz, zobaczysz, co tu bąków nastrzelają i wstydu nam narobią.

Toni, główny cel mając na myśli, mniej dbał o resztę. Wiedział od hr. Wita, iż on z żoną i córką ma się przypóźnić.

Gospodarz nawet odzywał się głośno z ubolewaniem, iż nie jest pewnym, czy sąsiad ten mu nie uchybi, bo hrabina podobno była niedysponowaną...

Hrabia August, który na siebie nigdy nie miał zwyczaju kazać czekać, przybył przed wieczorem i, ukazawszy się tylko gospodyni domu, poszedł na cygaro do męzkiego towarzystwa.

Tu otoczyli go ci, co nie grali, i rozmowa zaczęła się o polowaniu jutrzejszem, o myśliwstwie w ogóle.

Hrabia był w wyśmienitym humorze, wesół, grzeczny i — jak najprzystępniejszy. Trudno w nim było poznać wielkiego pana, bo zdawał się starać o to, aby się wydawać nie inaczej jak wszyscy.

Na herbatę z małym wyjątkiem graczków zadających, którzy, raz dopadłszy zielonego stolika, już się z nim rozstać nie mogli, a tym herbaty przynieść musiano na plac boju — wszyscy zresztą wyszli do pań do salonu.

Hrabia musiał się prezentować a wszystkie damy znajdowały go nadzwyczaj dystyngowanym. Oczy kobiet zwracały się nań ciągle, na co nie zdawał się zważać. Nie był wcale dzikim, ale pomimo grzeczności i uprzejmości skarżono się, iż był zimny bardzo.

Już herbata kończyć się miała, gdy gospodarz wbiegł, głośnie objawiając, jak jest szczęśliwy, iż nawet państwo Witowie, których się już nie śmiał spodziewać, przybywali. Ponieważ odległość nie zbyt wielka dzieliła dwa majątki, hrabina z córką jadące w wielkiej poczwórnej karecie

stawiły się ubrane obie i mogły wprost wejść do salonu.

Hrabia Wit uprzedził je o małą chwilę i tak dyplomatycznie się znalazł, iż Augusta dopiero na ostatku zobaczył, zbliżył się doń a skutkiem tego, że już ukłony skończone były, mógł z nim rozpocząć małą rozmowę.

Berta złotowłosa na ten wieczór pierwszy nadzwyczaj skromnie była ubraną, ale tem piękniejszą jeszcze.

Miała sukienkę białą z szarfą niebieską, turkusową broszę i koleczyki, bransoletę i różne odpowiednie cacka, wianuszek we włosach ze skromnych niezapominajek. Dla tych, co jej z bliska nie znali, wydać się mogła dziewczką bojaźliwą, cichą, łagodną; w oczkach tylko, któremi czasem rzuciła, błyskało coś jakby stalowego noża polysk zimny i ostry... Ale też same oczy umiały się uśmiechać, załzawieć, rozczulić, gdy było potrzeba.

Gdzie się tego nauczyła? myślała nieraz matka, zapomniawszy, że natura jest wielką nauczycielką i, przeznaczając słabą istotę do walki, daje jej oręż do obrony.

Powitanie pań tych przez hr. Augusta było chłodne i z daleka, a Berta nawet bardzo żywo i jakby z myślą pewną odwróciła się zaraz od niego.

Po herbacie, aby czasu nie tracić, gospodarz miał rozpocząć tańce z księżną Edziową,

a hrabiego Augusta prosił, by szedł w parze drugiej z jego żoną.

Polonez odbijany obrachowanym był przez gospodarza w ten sposób, ażeby, gdy hr. August znajdzie się przy pannie Bercie, mógł z nią dłużej nieco się przechadzać. Miało to nastąpić przypadkiem, chociaż siostrzeniec stał na straży, aby się w rachubie nie omylono. Na tę pierwszą chwilę zbliżenia liczono dosyć — a chociaż Berta nie wiedziała o spisku, matka była pewną, że z okoliczności skorzystać potrafi.

Ze swobodą człowieka nawykłego do świata i mającego podostatkiem zdawkowej monety, którą się powszednia rozmowa opłaca, hr. August przechodził od tancerki do tancerki, umiejac każdą zabawić, zająć, rozchmurzyć.

Berta zawczasu dostrzegła, iż wkrótce się jej dostanie hr. August, zarumieniła się nieco. Śliczne brwi się jej ściągnęły, pomyślała nieco — była gotową. Przed chwilą jeszcze trzpiotowato śmiała się i chichotała ze swym towarzyszem, powoli twarzyczka jej spoważniała, nabrała wyrazu prawie dzieciennego, naiwnego i, gdy hr. August podał jej rękę a ona mu wejrzeniem odpowiedziała, umiała w tym rzucie oka zamknąć wyraz tak głęboki, tajemniczy, czarujący, iż hrabia ledwie nie był zmuszony spuścić oczy, tak trudno mu było sile tego wejrzenia nie uledez.

Wzruszyło go ono do głębi — on, człowiek poważny, który się nie mieszał nigdy, zadrżał od tego wzroku dziewczęcia. Dreszcz przebiegł po nim, spojrzał na nią nawzajem, ale ona miała już oczka skromnie spuszczone.

Polonez zaczynał okręcać się po salonach i sąsiednich pokojach, aby mógł trwać dłużej.

— Pana hrabiego pewno nie taniec tu sprowadził, ale chyba myśliwstwo? — odezwał się srebrny głosik, w którym czuć było doskonale odegrane wzruszenie. Każdyby przysiągł, że naturalne być musiało.

— Pan hrabia zwykle nie tańczy!

— Jestem już trochę za stary do skoków — rzekł hr August — a nie dosyć wesołym. Taniec jest ostatnim wyrazem wesela...

— Ale dlaczegoż hrabia nie miałby być wesołym? — spytała panienka naiwnie, patrząc mu w oczy.

To drugie wejrzenie było już całkiem odmienne wycieniowane, choć z pierwszym pokrewne. Patrzała śmiało tak, jak dziecko, ale z po za naiwności dzieciinnej tryskała zalotność, chęć upojenia... zdobycia z taką siłą, że po raz drugi hrabia był zmuszony wzrok swój spuścić.

— Wesołość jest w naturze człowieka, w usposobieniu — rzekł — wyrobić jej nie można, jest to dar Boży...

Berta słuchała z niezmierną uwagą, jak w tęczę patrząc w hrabiego, bo na swe oczki rachowała ogromnie. Instynkt i doświadczenia trochę nauczyły ją, że słowo jest komentarzem tylko a tekstem zawsze są spojrzenia. One mówią w sposób tajemniczy, czego najpiękniej i najumiejtniej ułożone wyrazy wypowiedzieć nie mogą...

— A, to prawda! westchnęła hrabianka Berta — wszystko w nas jest tym darem... przychodzi niespodziane, znika niepostrzeżone. Ale jak to smutno nie być panią swojej woli i musieć ulegać tej jakiejś despotycznej sile.

Wstrząsnęła się leciuchno i białe jej jak śnieg ramiona, prześlicznych kształtów, których sukienka nie osłaniała, zadrżały jakby wcale innego rodzaju dreszczem. Hr. August, który po raz pierwszy zbliżka się jej dłużej przypatrywał, nie mógł nie zachwycić się nadzwyczajnym wdziękiem tej idealnej postaci, pół dziewczki, pół dziecięcia.

Kilka słów, które powiedziała, dowodziły główki otwartej, a co więcej, śliczna ta główka, ubrana we włosy jakby ulane ze złota, spoczywała na szyjce cudnie zaokrąglonej, na ramionach młodej psychy, której malusienka rączka, piękna jak caceczko, pulchna, drżąca dziwnie w dłoni tancerza spoczywała. Biegł od niej jakby jakiś prąd magnetyczny, który ostygłego, rozumnego, obojętnego człowieka tem silniej poruszał, że do tego rodzaju wrażeń nie był przywykły.

Żwawo następowały potem po sobie pytania i odpowiedzi, którym ciągle coraz napastliwsze towarzyszyły wejrzenia.

Berta zapytywała, czy choć mazura dla tego, że był polski, nie tańczył hrabia; August nie zapierał się, iż mazur nie był mu całkiem obcy. Śmiejąc się wyzwała go — dla ciekawości i na przekor, ażeby z nią pierwszego tańczył i dozwolił jej cieszyć się tym małym tryumfem, iż ona go do tego uprosić mogła.

Hrabia August nadto był grzeczny, by mógł odmówić ślicznemu dziewczęciu, które go — intrygowało i drażniło. Wyobrażał je sobie daleko chłodniejszym, mniej śmiałym, znajdował w niem wiele naturalności i wdzięku.

W czasie tej pierwszej po pokojach przechadzki, choć nikt na tę parę nie zdawał się zwracać uwagi, hrabia Wit z za drzwi, matka z kanapy, gospodarz od progu gorączkowo badali, odgadywali, co się tam między nimi działo. Cieszyli się, widząc rozmowę nadzwyczaj ożywioną. — O! ta Berta! — myślała matka. — Ta Berta! — mówiła w duchu p. Neida...

W istocie Berta, gdy się polonez skończył, odeszła do matki tryumfująca. Szczęściem tej minki, któraby mu może tajemnicę charakteru zdradziła, nie widział August, który się cofnął pomiędzy mężczyzn, gdzie nań czekał już hrabia Sławek, potrzebujący mu zaprezentować człowieka,

mającego nadzieję gdzieś się w dobrach majoratu umieścić.

Dano hrabiemu wypocząć, gdyż wedle programu po polonezie nastąpił walc a po nim dopiero miał przyjść mazur, w którym hr. August, o czym nie wiedział nikt, obiecał służyć Bercie.

Dziewczę nawet przed matką zrobiło z tego tajemnicę, aby tem większe obudzić podziwienie. Walc, w którym młodzież brała udział gorący, trwał dosyć długo. Nastąpił przestanek mały i, gdy muzyka odezwała się warszawskim mazurem Lewandowskiego, ujrzano rzecz, której nikt w świecie nie przewidywał. Hr. August włożył szybko drugą rękawiczkę, zbliżył się do krzesła, na którym Berta z oczkami spuszczonemi przy matce siedziała — i zaprosił ją.

Wywarło to wrażenie piorunujące, matka popatrzyła na córkę, która przyjęła tancerza, jakby go się wcale nie spodziewała. Hr. Wit zarumieniał się tak, iż zląklszy się, aby tego nie postrzeżono, za drzwi się schował, a pani Neida stanęła wśród salonu w pochodzie przezeń — osłupiała.

Wiedziano, iż hr. August zwykle nie tańczył, zaproszenie to nabierało ogromnego znaczenia. Osoby mniej świadome stosunków domyślały się więcej, niż było. Trącano się łokciami, szepcano.

Po pierwszym wrażeniu ochłonawszy, hr. Witowa natychmiast odzyskała całą swą powagę i

jakby obojętność, ale serce jej biło tak, że ręką je niepostrzeżenie przycisnąć musiała, aby jej nie zdradziło.

Toni, który w chwili, gdy się to stało, znajdował się w drugim pokoju, pierwszą wiadomość na ucho otrzymał od żony i o mało w dłonie z radości nie uderzył. Spojrzeli sobie w oczy z porozumieniem.

— O! ta Berta! ta Berta!

Zwycięstwo złotowłosej dziewczki zdawało się być zapewnione.

Pierwszy krok zawsze najtrudniejszy, w mazurze — ah! ileż się to małżeństw kojarzy. W przestankach ile sobie powiedzieć można: a dwanaście par, gdy taniec umiejętnie jest prowadzony, ile godzin może wywijać w mazurze, który tak ducha podnosi.

Toniowi na myśl przyszło hrabiego zmusić do wypicia paru kieliszków starego wina węgierskiego a miał takie, które ogień w ludzi wlewało. Środek to był zbyt uczynny może, może pospolity, bo oczki tancerki nad wszelkie wina więcej miały w sobie odurzającej sily — ale i najbliższymi pomocniczymi środkami rozumny strategik nie gardzi.

Berta z talentem nadzwyczajnym strzegła się okazać, iż tryumfuje lub że do tego zbytnią przywiązuje wagę, poszła z hr. Augustem ze swe-

go krzesła skromniuchno, z oczkami spuszczone-
mi — z trwożliwością prawie.

Nim pierwsze pary dokończyły figury, do której ani Berta ni jej tancerz nie byli potrzebni, dziewczyna miała czas naelektryzować hrabiego wzrokiem i zawiązać rozmowę.

Poważny człowiek uległ widocznie wpływowi dziewczęcia, zajął się nią, rozprawiał wesoło, i gdy na nich kolej przyszła, tak byli zaprzątnieni rozprawą o życiu na wsi, o słodyczach tego cichego, sielankowego bytu na łonie natury, iż musiano hrabiemu przypomnieć jego obowiązki.

Berta tańczyła jak sylfida, jak motylek a była urocza, gdy nią szal młody owładnął, to jest, gdy chciała okazać, iż mu się poddawała. W istocie panowała tak dobrze nad sobą, iż najmniejsze jej poruszenie mimowolnem nie było.

August poruszał się trochę ciężko, trochę może za wolno, ale nigdy nie opuszczająca dystynkcya ruchów i tu go odznaczała.

Panie z po-za wachlarzów mówiły sobie, iż taniec jego ma wiele życia i siły. Inne widziały w nim polski zakrój, coś przedziwnie rubasznego a pańskiego razem. Berta i on stanowili pewien kontrast, składający się na śliczną całość. — Ona miała polot, jakby z ziemi ulecieć chciała, on energią, która potrzebna jest, aby podstawy z pod nóg nie stracić. Para była dobrana nie tak do tańca

jak do życia, ideal powstrzymywała trzeźwa rzeczywistość, by się w obłokach nie rozplynał.

Z rozmowy, jaka się w interwałach toczyła bardzo żywo, niepodobieństwo jest zdać sprawy.

Mówiono pół słowami, urywanymi frazesami, a Berta nadewszystko przemawiała oczyma stałowemi i sięgała niemi aż do głębi duszy..

Hrabia August, któremu narzucono dwa kieliszki wina starego, w istocie nad zwyczaj swój, — nad popolitą wstrzeźliwość — rozruszał się, ożywił, stał się rozmownym i nadskakującym. Motylek ten bawił go, zachwycił.

We wrażeniu nie było nic niebezpiecznego dla przyszłości, zmysłowy urok wiele się do niego przyczyniał, lecz zaprzeczyć tryumfu czarodziejce nie było podobna.

Toni pilno się starał o to, ażeby mazur trwał jak najdłużej, wymyślano figury coraz nowe, ciągniono bez końca. — Wieczera dopiero zmusiła przerwać a ktoś dał hasło, ażeby tańczący jak stali, szli w parach do niej. Hrabia August był więc zmuszony podać rękę Bercie i pilnowano tak porządku, że przy niej też usiąść musiał. Dla pewnego decorum, troskliwa o zmęczoną córkę hrabina Witowa zabrała miejsce przy niej.

W ciemnym gabinecie spotkawszy się sam na sam Toni z hr. Witem, przyjął uścisk jego dłoni i szepnął:

— A co, nie umiem ?

Hrabia Wit w zawsze prawie czerwonych oczach, bo chorował na nie, miał łzy wdzięczności.

— To rzecz tak jak skończona! szepnął Toni.

Najostygleszy, najlepiej nad sobą umiejący panować człowiek ma w życiu takie chwile, gdy duch jego wpływowi słabszego nawet, ale chwilową energią spotęgowanego ulega ducha. W ludziach, którzy młodość gwałtownie stłumili w sobie, odzywa się ona z siłą taką, iż pierwsze jej uderzenie może zachwiać. Hrabia August znajdował się właśnie w takim usposobieniu, był upojony.

Żadna kobieta, nawet najmniej doświadczona, nie jest tak ślepą, by natychmiast nie poznała, nie przeczuła, że wpływ jej okuje kogo i spęta. Berta wiedziała, że zrobiła wrażenie i teraz, gdy była go pewną, zmieniła taktykę i ton.

Z początku mazura była nieśmiałą jeszcze i jakby strwożoną, teraz ani mnogie oczy, które śledziły za nią, ani sąsiedztwo matki nie mogło jej powstrzymać od pewnego rodzaju emancypacyi.

Ale od nieśmiałości do zuchwałstwa przejście było z taką sztuką cieniowane, tak wystopniowane, iż hrabiemu się prawie czuć nie dało... Stała się trzpiotowatą, niby tańcem rozmarzoną i, zawsze pozostając dziecinną trochę, stała się najniebezpieczniej zalotną.

Było gorąco, więc odsłoniła ramiona, do wierzchy zdjęła rękawiczki i pokazała rączki cud-

wne; uśmiech cały wdzięk ustek jej odkrywał, oczy strzelały... zabijały...

Hrabia był oczarowany... Nigdy nikt nie widział go w takim humorze. Mazura tego nie miało dosyć, prowadzący go tancerz zapowiadał ciąg dalszy po wieczery, przyklaskiwano mu...

Toni był nagłym, aby wypróżniono kieliški, August pił. Lecz rachuba w tym względzie omyliła człowieka, który nie wiedział, że ci, co piją mało, zwykle najwięcej wytrzymać mogą.

Mazur i wieczera zbliżyły tak hrabiego do panny Berty, spoufaliły ją z nim, że dobra znajomość zdawała się daleko starsza, niż była. W obejściu się tancerza coś było opiekuńczego, poważnego, ale nie mniej rozmarzonego.

Niepodobna było nie zachwycać się złotowłosą, która ożywiwszy się, zarumieniona, rozswawolona nieco — jeszcze była piękniejszą. Wśród światła, muzyki, życia tego podniesionego zdała się dopiero w swoim żywiole...

Gdy po tym wieczorze, który się prawie ciągnął do rana, hrabia August znalazł się w swym pokoiku sam z sobą i począł ostygnać, dopiero postrzegł, jak daleko odszedł od tego kresu, na którym zwykle się trzymał.

Prawie miał to sobie do wyrzucenia i nachmurzył się.

Rozbierał się mając położyć, aby spocząć przed połowaniem jutrzejszem, gdy pułkownik, który, przy-

bywszy późno. trzymał się na uboczu, wszedł do niego z fajeczką w ustach...

— *Cré — nom!* ależeś dziś szalał za wszystkie czasy! — zawołał. — Zkądże ci się to wzięło?

August się uśmiechnął.

— Doprawdy nie wiem! Sam się dziwuję sobie.

— Wiesz, do milion diabłów... przepraszam — szepnął mu do ucha wuj — ale bo to miało mnie, jakby cię ta laleczka oczarowała...

— Bo w istocie tak było! — odparł August.

Pułkownik pyknął dymem i namarszczył się.

— Ale boby to było... przyznam ci się...

Poskrobał się po łysinie.

— *Nom d'un nom*, toby było...

Nie dokończył.

August go uściskał.

— Nie trwoż-że się, wujaszku, bo nie ma czem — odparł. — Przecież, że się mazura tańcuje z kimś, nie idzie za tem, aby się miało związać na dłużej.

— Często idzie to za tem — rzekł pułkownik. — Lecz, do kata, co ja ci mam nauki dawać! Ja! tobie! Tyś stokroć rozumniejszy!...

Służący, który się kręcił po pokoju, wyszedł, — a pułkownik w kąć odwiódłszy siostrzeńca — zaczął po cichu:

— Trzeba, żebyś wiedział, że to wszystko jest — ułożone. Berko mi zawczasu mówił, że Toniemu hrabia Wit dług zapłacił dokuczliwy, a pono i pie-

niędzy na te fety dostarczył, aby na ciebie zastawić pułapkę. — Oni ci tę dziewczynę chcą narzucić...

— Plotki! — odezwał się August — i pułkownik wierzysz temu?

— Nie dałbym wiary, gdybym nie znał ludzi...

Zamilkli, zasępił się hrabia, ale czas było iść spocząć trochę i rozstali się.

Nazajutrz rano trąbki zawołały na polowanie, gdy tancerki miały czas wypaść się i wypocząć przed wieczornym balem. Hrabia August rad nie rad miał już przyrzeczonego mazura, ale wstał po krótkim śnie i rozmyśle znacznie otrzeźwiony. Obiecywał sobie być chłodnym, ostrożnym, panem siebie i nie dać się tak łatwo wziąć — dziecinemu wejrzeniu.

Były to piękne i rozumne postanowienia — pomimo nich jednak w ciągu łowów te oczki stalowe i wzrok ich przeszywający chodziły za nim niestannie... Motylek w białej sukience latał przed oczyma...

Gdy się to działo na stanowisku w lesie, na wieczór Berta gotowała się wystąpić w całej potędze swych wdzięków. Wczorajszy strój zbyt skromny zgasnąć miał przy tym nowym, który był zdaniem artystek — arcydziełem...

Na jedwabnej, lekkiej koloru fali morskiej sukience drapować się miała druga z koronek i haftów złożona. We włosach na czarnej fanta-

styczej przepasce brylantowa gwiazdka połyskiwać miała nad czołem. Wczorajsze turkusy bez blasku zastępowały dziś dyamentowe ozdoby, którym olbrzymie towarzyszyły opale...

W tym stroju też sama co wczoraj była nowem zjawiskiem, istotą jakby inną. Odpowiadał on o jeden stopień podniesionej odwadze i ośmieszeniu dziewczęcia, które w duszy było pewne tryumfu... Przez złote ogromne warkocze wijącą się czarna aksamitka dodawała im blasku; każdy szczegół ubrania był obmyślany, zharmonizowany, stworzony, by całość uczynił malowniczą...

Zresztą uczucie zwycięstwa — samą twarzą — czyniło więcej promienistą, piękniejszą jeszcze niż była... Metamorfoza była cudowną.

Gdy hr. August wszedł do salonu surowszy niż wczoraj, oziębiony znacznie, jakby pokutujący za szal wczorajszy, dość było jednego spojrzenia Bercie, aby zrozumieć, że część zdobyczy wczorajszej — straciła. Należało ją nie tylko odzyskać, ale nowym uzupełnić podbojem.

Miała przed sobą mazura — a cóż jej ręczyło za to, iż on musiał być długi i upajający. Hrabia nie rychło zbliżył się do niej. Powitanie z jego strony było jakby zawstydzonego człowieka, z jej bardzo żywe i śmiałe. On zdawał się zapać dnia wczorajszego, ona nie ustępować z placu, który uzyskała. Przywitała go jak stara znajoma, maluską rączkę podała żywo, a oczy

natychmiast wzięły się do magnetyzowania ofiary, napróżno starając się ich uniknąć.

Krótką chwilę nieszczęśliwy usiłował się bronić, jak człowiek związany, który targa swe pęta, potem poddał się urokowi i ani spostrzegł, jak znowu dla czarodziejki rozplomieniał.

Muzyka grała mazura...

W kącie siedzący pułkownik, który zaczynał być coraz niespokojniejszym — nie spuszczał z oka pięknej pary.

— *Sapristi!* coś się niedobrego święci! mówił w duszy. Panna ładna, ale trzpiot, z którego nie nigdy poważniejszego nie urośnie. U niej wszystko dziś już w głowie. Serca nie będzie miała nigdy!

I wzdychał...

Toni schylił mu się do ucha.

— Panie pułkowniku! kieliszeczek starego tego, co to wiesz...

Pułkownik nie odmawiał nigdy...

Podano mu.

— He! coby to była za parka! — szepnął mu gospodarz, wskazując na Augusta i Bertę.

— Myślisz?? — zapytał Samulski.

— Alboż nie?

— No, ja nie wiem — odezwał się pułkownik zwolna. Tego motylka szkoda by było dla mojego niedźwiedzia... Gucio — ty wiesz jak ja go kocham... ale nie dla niej!

Toni udał zdziwienie.

— Nie rozumiem! rzekł.

— Ale, proszę cię? — mówił stary — onaby się na śmierć zanudziła z nim... Potrzebuje świata, życia, zabaw, wesołości, a u nich tego nie masz wcale i nigdy nie będzie!

Gospodarz popatrzał i umilkł — nie nalegał więcej. — Zaledwie odszedł, gdy hr. Sławek, wesół, bo mu się udało komuś psotę wyrządzić i próżność swą zaspokoić, poklepał go po ramieniu.

— Pułkowniku! sposobi się wesele! — zawołał, pójdziemy mazura...

— Gdzie?

Sławek mrugnął oczyma wskazując właśnie tańczącą parę.

Stary ramionami ruszył.

— Wszyscy są pewni, że hr. August zakończy! — mówił dalej — to bije w oczy! Nigdyśmy go takim nie widzieli.

Nie wydobył ani słowa z pułkownika i odszedł. Samulski był pochmurny i zły...

Drugi ten wieczór był potwierdzeniem tego, co już pierwszego dnia wszystkich uderzało.

Zdawało się nie ulegać najmniejszej wątpliwości, że hr. August — dał się wziąć.

Toni był powodzeniem w pychę wzbity, chodził z miną zwycięzcy, śmielszy i zuchwalszy niż kiedykolwiek.

Tego wieczora także przedłużono mazura, po nim hr. August, otoczony mężczyznami, pozostał w sali na żywej z nimi rozmowie, oczyma goniąc śliczną Bertę, która latała po sali jak ptaszek. W drugim mazurze, którego nie tańczył wcale, Złotowłosa wybrała go dwa razy do figur, wyciągając gwałtem ze spokojnego kątką.

Przy wieczerzy nie siedzieli przy sobie i nie śmiano już bo by to nadto nderzyło, znowu ich zbliżyć, lecz znaleźli się jeszcze raz w jakimś polonezie, który dla spoczynku zagrano. Berta, roztrziotkana, wesola, szeptała mu coś, śmiała się on się do niej nachylał. Zdawał się być bardzo czuły.

Późno w noc, przyszedłszy do siostrzeńca pułkownik z fajeczką jak dnia poprzedniego. nie mówił już nic o Bercie.

Zdawał się tylko badać Augusta, był smutny, zmęczony i, znalazłszy hrabiego niezmiennym, spokojnym zupełnie, — wyszedł wkrótce, pozbywszy się wielkiej obawy.

— Ma nadto rozumu — mówił do siebie. — Wolno mu się jako młodemu chwilę jaką potrzpiotać, ale głupstwa zrobić mu się nie godzi.

Ostatniego dnia polowanie zupełnie się nie powiodło, i myśliwi powrócili z niego wcześniej na wieczór tańczący, który miał nareszcie zamknąć ów szereg zabaw, nużących już gospodarzy i gości.

Na wszystkich tego wieczora widać było wyczerpanie i potrzebę odpoczynku, oprócz kilku młodzików, którzy szali podwajając, udawali nieznużonych.

Ponieważ noce były księżycowe, hrabia August pułkownikowi oświadczył po cichu, że chce się po wieczerzy wymknąć bez pożegnania i wrócić do matki.

Spotkawszy się wśród salonu z panną Bertą, która go zaczepiła z poufalością dobrej znajomej, hr. August dał się jej jeszcze wciągnąć do jednego mazura. Szeptala mu dziewczeczka przerywając sobie śmiechem, że z nikim jej tak mazur nie szedł dobrze, jak z nim...

Było to tak pochlebnem, że się dziecinnej fantazyi nie mógł oprzeć grzeczny hrabia.

Berta, która tego dnia miała płomieniste wstęgi i ozdoby sukni, a było jej w nich nie tak wdzięcznie jak pierwszych dni, po wesołości wczorajszej przybrała minę melancholijną i smutną. W rozmowie utyskiwała na brak sąsiedztwa i towarzystwa, prawie zdała się robić mymówki hrabiemu i matce jego, że się tak mało udzielali światu. Hrabia dziękował i milczał. Matkę tłumaczył tem, że potrzebowała ciszy, samotności i była do nich przywykłą. Zdaje się, że Złotowłosa, rachując na jeszcze jedną rozmowę z hrabią, nie wypowiedziała wszystkiego, co było na programie, a hr. wymknąwszy się, po wieczerzy niespodzianie

zniknął. Wyjazd był tak nieznacznie przygotowany, że nawet Toni się go nie domyślał, i zdumiony był, przerażony prawie, gdy mu siostrzeniec powiedział o nim jako o fackie dokonanym.

Uderzającym było to, że hrabia August, widocznie zajmując się Bertą — o czem nikt nie wątpił — nie starał się zbliżyć ani do hrabiego Wita, który nań czatował, ani do matki, goniącej go oczyma po salonie. Tłumaczono to tem, iż chciał zapewne z matką odwiedzić hrabiostwo i uroczyste inaugurować swe załoty.

Bądź co bądź, Toni kwaśny był i na tych magnatów narzekał, którzy nie umieją się znaleźć a formami przyjętymi pogardzają.

Po zabawach tych nastąpiła chwila spoczynku i oczekiwania.

Berta złotowłosa i rodzice jej najpewniejsi byli, iż lada chwila odwiedzin, jeżeli nie matki z synem, to syna przynajmniej spodziewać się mogą na pewno.

Berta była tak zręczną, iż wiedząc o tem, że hrabia czytać lubił i dużo czytywał — mówiła wiele o książkach, do czego się przygotowała. — Wzmianka była w rozmowie o kilku, których nie знаła a niby to bardzo je mieć pragnęła.

Grzeczny hrabia ofiarował się ich dostarczyć. Zdawało się, że naturalnie sam je przywiezie.

Tymczasem książki te z listem bardzo grzecznym przywiózł posłaniec...

Różnaitemi sposoby tłumaczone sobie spóźnione odwiedziyny... ale tygodnie upłynęły a hrabia nie przybywał. Hrabia Wit zaczynał być niespokojny i podrażniony.

Powołano Toniego, który wprost skłamał, że wiedział o nadzwyczaj pilnej sprawie — która miała hrabiego do Warszawy powołać.

Tłumaczył go, uniewinniał, ale w duszy przeklinał. Był tak pewien powodzenia, iż mu się w głowie to pomieścić nie mogło, jak ten człowiek śmiał mu taki zawód uczynić. On i żona wściekali się. Ponieważ podsłuchano pułkownika trochę, domyślano się, iż jego wpływ wszystko popsuć musiał. Chwilami jednak jeszcze mówili sobie interesowani:

— To być nie może! on się do niej musi zwrócić!

Co się działo z hrabianką Bertą, o tem wiedziała może trochę jej najserdeczniejsza przyjaciółka, dama do towarzystwa, Madame Hausseville, dla której nie miała tajemnic — a może nikt. Matka mniej niż wszyscy.

Za nic w świecie nie byłaby Berta okazała tego bólu i gniewu, jaki ją przejmował coraz bardziej, gdy się przekonywała, że na hr. Augusta wcale rachować nie mogła... Jej śliczna twarzyczka, gdy myślała o tem, przybierała wyraz tak str-

szny, iż ulęknąć się było można wejrzenia i zmarszczonych brwi. Zaczynała usta, bladła.

Nie żeby się jej hr. August podobał tak bardzo. Znajdowała go dystygowanym, ale zarazem sztywnym, zimnym, smutnym. Nie byłaby go kochała nigdy, choć poszłaby zań z ochotą — pomyśleć zaś, że śmiał i mógł nie oszaleć, nie zakochać się w niej, że wszelkie starania były stracone — napełniało ją zgrozą. Z każdym dniem rósł gniew ten tajemny..

Hrabia Wit chodził jak — człowiek skompromitowany, który się lęka, aby się jego niezręczność nie wydała, wyrzucając sobie, że tego głupiego Toniego do tajemnicy przypuścił.

Był teraz na jego łasce... Hrabina gryzła się nie mówiąc nic, ale była nadto pewną świetnego losu córki, ażeby chybione te starania miały ją zbytecznie obchodzić.

Nareszcie gdy kilka miesięcy upłynęło i karnawał w małej stolicy, zwykle dosyć szumno obchodzony, się zbliżył — a hr. August nie dał znaku życia — wszyscy musieli wyrzec się następstw, jakich po mazurach i polonezach się spodziewali.

Toni, dotknięty do żywego, zaczynał publicznie odzywać się lekceważąco, z przekąsem o hr. Auguście... Dwie córki dorosłe zmuszały go na bale do miasta wyciągnąć. Mniej więcej gromadziła się tam cała szlachta okoliczna, a zapusty

obiecywały być bardzo wesołe. Mężczyźni zwykle wiodący rej w sprawie zabaw, gospodarze honorowi i rzeczywiście balów i pikników, już wszyscy byli od dawna na placu. Karnawał poczynął się od narad nad rozkładem zabaw i ich porządkiem, narady wymagały schadzek, — schadzki ciągnęły za sobą obiady, a po nich następowała prawie zawsze gra dosyć niekiedy gruba. Mniej więcej wszyscy ci panowie byli dla samego zabicia czasu graczami namiętnymi, bawili się więc, jak nie można lepiej, nim zabawy dla żon i córek nadejść miały.

Do tych *parties fines* i wieczorków przy wiście, beziku, ekarte, diable i sztosie staroświeckim, hr. August nigdy nie należał.

Pułkownik na nieszczęście z wojskowego życia wyniósł wiele złych nałogów i, choć się od gry wstrzymywał, wciągnąć się w nią dawał, zaglądał więc czasem do eleganckiej knajpy.

Augustowi jego uchylanie się od towarzystwa miano wielce za złe.

— Gra rolę magnata! nie raczy! Dla niego myśmy za mali ludzie! — powtarzano z przekąsem.

Toni występował już otwarcie przeciw pyszałkowi, Sławek mu półgębkiem wtórował — inni potakiwali. Sarkano, szukając tylko zaczepki, powodu, okazji, aby móżdż otwarcie wystąpić. Śmielsi odzywali się, że wartoby go nauczyć rozumu.

Stronienie od zabaw i towarzystw tem więcej było uderzającym, że hrabia który we wszystkich stowarzyszeniach pożytecznych, dobroczynnych — czynnym był członkiem, na zgromadzenia ich uczęszczał pilnie, zabierał głos i zaczynał mieć wpływ, który straszył już innych.

Prezydent wszystkich komitetów Zenio, który nie z siebie nigdy powiedzieć nie umiał a do ofiar nie był skłonny, przewidywał chwilę, w której być może zatartym i zmuszonym na plan drugi ustąpić. Trzymał się jeszcze przy dawnych przywilejach, lecz czuł, że współzawodnictwo było niebezpieczne.

Książę drewniany, od pierwszego spotkania objawiwszy wstręt do hrabiego, coraz nieprzyjaźniejszym się dlań okazywał. Nie wywoływał konfliktu sam, ale rad był, żeby do niego przyszło. Usposobienia w ogóle stawały się coraz nieprzyjaźniejsze.

Hr. August nie mógł nie dostrzedz chłodu, jakim go otaczano, wejrzeń, jakie rzucano nań — lecz zdawało się go to obchodzić mało, i zawsze miał tę samą twarz spokojną, wypogodzoną, poważną. Witał się i rozmawiał z ludźmi jawnie nadąsanymi tak, jakby się na tem wcale nie poznał lub nie dbał o to. Gniewało to wszystkich bardziej jeszcze.

Jednego wieczora, gdy gra dosyć była ożywioną i milczący Bercik, który się nią żywił i

utrzymywał — oporządził był, jak się wyrażano, Toniego, Sławka i kilku innych, wszyscy w końcu tak byli znużeni, iż postanowiono kazać dać herbaty i chwilę spocząć.

Godzina była dosyć spóźniona; wchodzili i wychodzili różni to na wieczerzę, to dla gry, i rozmowa wlekła się przerywana i odżywiana coraz nowemi żywiołami.

Atmosfera saloniku, chociaż dosyć obszerne-go, nie odświeżana przez dzień cały, pełna była wyziewów kuchennych, dymu tytoniowego, oparów jakichś nieokreślonych, w których zapachy zmieszane zmieniały się w cuchnącego coś i ciężkiego. Czuć w niej było jadła, napoje, węgle pieca, kilka razy podpalanego, i tę woń właściwą restauracyom, w których ludzie i potrawy coś po sobie zostawiają.

Gazowych kilka płomyków w globach mlecznych słabo oświecało salkę, której stolik oprócz tego opatrzony był kilku lichtarzami.

Na kanapce z nogami wyciągniętymi jak pierwszą razą, spoczywał Zenio, milczący i zadumany, tego dnia jakby postarzały. Toni siedział wpatrzony w stół, na którym ostatnia klęska go spotkała, myśląc, jak tysiąc blisko przegranych talarów zapłaci.

Bercik, ręce powkładawszy w kieszenie, chodził usiłując niezgrabnie pokryć radość swą ze znacznej wygranej. Kilka innych osób spoczywało

po kątach, gdy wszedł hrabia Sławek, nie zdejmując kapelusza, i rzucił się na krzesło z miną człowieka, który wszędzie pewien jest swojego stanowiska.

Zenio z wolna bardzo zwrócił głowę ku niemu, wyjął z ust cygaro i odezwał się:

— Słuchaj, Sławek — a ślicznie się twój hr. Guccio popisuje? he?

— Mój? odparł Sławek — dla czegoż mi go dajesz?

— A! boś go tu przecie pierwszy nam zalecał... rzekł Zenio.

— Cóż zrobił? spytał przybyły...

— Nie wiesz? — mówił ociężałe prezydent — nie wiesz? Wczoraj było tu zgromadzenie, na którem radzono o szkołkach wiejskich... Wiesz, co to tam za ludzie do tego należą! Proletaryat! Ulica! Żaden z nas na próg tam nie stąpi nigdy. Ci ichmość — bo to swój swego zwącha zawsze — posłali mu zaproszenie! Cóż myślisz? Puścił *per non sunt*? Nie! Przybył, gardłował i znaczną sumę na szkoły i na te głupie czytelnie ofiarował, które próżnowania lud uczą...

— Cóż ty na to?

— Za pozwoleniem — przerwał głos z kąta... Spotkałem hrabiego Augusta, gdy wychodził z tej sesyi, i nie mogłem się wstrzymać, abym mu podziwienia mojego nie wyraził. A on mi na to...

— Cóż? cóż, zapytali wszyscy.

— Najspokojniej w świecie odpowiedział mi: — A to waćpanowie chcecie, uchylając się od tego, aby ludzie niedojrzali i niebezpieczni pochwycili to w swoje ręce? Byłem tam, bo to nasz obowiązek...

— Sofizmat! — zawołał Zenio — popularności mu się chce!

No, niechby zresztą był, kiedy mu się chciało ocierać o jakichś tam mieszczuchów i ludzi z gminu — ale owa ofiara na szkółki, które mnożą nam proletaryat najniebezpieczniejszy — doktorów filozofii w butach dziurawych, z wywróconemi głowami!

— Ale tak! tak! słowo honoru! to kryminał...

Sławek bębnił palcami po stole.

— Ja go obserwowałem od pierwszego zjawienia się między nami, dodał Zenio... Prawda, że do kościoła chodzi, ale to nie dosyć...

Powagi swej utrzymać nie umie. Z nami prawie nie żyje, a szuka sobie towarzystwa ludzi, którzy jawnie grożą nam — wywrotem!!

Najpobłaźliwiej go sądząc, na dwóch stołkach... chce siedzieć, a ja zawsze mówię — kto nie z nami, ten przeciw nam...

— To prawda — przerwał Toni, że całe jego postępowanie — *louche*. My dla niego jesteśmy nie dość dobrem towarzystwem, a lada profesorzyna...

— Gorzej, zawołał głos z kąta...

Umilkli trochę.

— Z naszej strony, perorował Zenio — nie mamy sobie nic do wyrzucenia. Przyjęliśmy go *à bras ouverts*, jak imię jego i pozycja socyalna nakazywała, robiliśmy mu awanse. Wszystko to bez najmniejszego skutku.

Sławek siedział zamyślony.

— Ludzie są, on i matka osobliwego nabożeństwa, odezwał się — boć... to darmo, wszyscyśmy ludzie... (Szło mu ciężko zawsze, gdy się chciał wysłowić.) — Wszyscyśmy ludzie... Każdy musi czemś żyć, ambicyą, gustem jakimś — fantazyą. Ten lubi konie, ów karty...

— Dziewczeta! rozśmiano się z ciemnego kąta.

— No i to! ciągnął Sławek — ale cóż on lubi, czem żyje?

— Skąpiec, kutwa, dusigrosz! rzekł Toni głosem stłumionym.

— No, nie powiem, przerwał Zenio, — na szkółki palnął taką sumę..

— A to nie pierwsza, dodał Bercik. — Ja wiem, że i na inne te niby dobroczynne cele, to jest na zachętę do próżniactwa — daje dużo...

— Matka także.

— Pozakładali w Augustówce diabli wiedzą co — zawołał Toni — ochronki, szpitale, czytelnie. To są fantazyje, które lud psują i bałamucają.

— Mało tego jeszcze, wyrwał się z kąta zakryty cieniem jegomość. — Kasa oszczędności, bank

pożyczkowy, wszystkie te demagogiczne instytucje, które nas na to wystawiają, że my się wydajemy ludziom zacofani. A do czego się to zdało? Aby potem lud nasz rozpieściwszy się, znajdując, że mu tu wszystkiego mało, wędrował do Ameryki. Radykały i po wszystkim.

Kilka westchnień nastąpiło po tym wymownym głosie boleści, przeciw któremu nikt nie protestował.

— Wieleśmy się po nim spodziewali, gdy nam go oznajmiano — rzekł Toni — ale przewidzieć, co ze sobą przyniesie, nie mógł nikt — to klęska!

— Mijam to — odezwał się Zenio niedbale — boć wreszcie możeby można wpłynąć na niego i pokazać mu, gdzie idzie i że za daleko się posuwa — ale całe jego obejście się z nami?

Toni w głos powtórzył.

— Tak, obejście się z nami! tak! w istocie —
Cela n'a pas de nom!

Nikt nie podniósł tej kwestyi, a Toni w końcu sam czuł się obowiązany jaśniej wytłumaczyć. Obejrzał się pilnie po kątach, czy są — w kółku swoich.

— Nie wiem, czy sobie przypominacie, — rzekł, albo czyście to obserwowali, ale na tem polowaniu z tańcami u mnie. No! prosiłem go tak, że przybył... Wielka łaska. Całe dwa wie-

czory nie odstępował Berty — to było uderzającym, tak bijącym w oczy.

— W istocie! — potwierdził Sławek, sam to uważałem...

— I panna i rodzice — mówił Toni — po takich nadskakiwaniach publicznych — jawnych mieli prawo się spodziewać pewnych kroków — zbliżenia się... starania... Cóż myślicie? Nie wybrał się z wizytą, aż w kilka tygodni i to tak zapewne umyślnie urządziwszy się, iż samego tylko Wita zastał. Bawił parę godzin! na tem się skończyło wszystko.

— E! — zawołał głos z kąta — proszę cię, toby się było tak nieskończyło — ale w tem sprawa pułkownika!! Hm!

— Licho wie! może i czyja inna! — mruknął Zenio. — Szamotulska tam pod bokiem z córką siedzi, a to kobieta!! Wkręciła się do nich i córkę mu podwozi.

— Myślisz, że się z nią ożeni? — zapytał szydersko Sławek.

— Ożeni się nie ożeni, ale się bałamuci... — rzekł Zenio. — Zresztą, któż wie, mogą zajść okoliczności...

Chrząknął, inni się śmieli.

Drzwi otwały się z trzaskiem, postrzeżono w nich pułkownika, który, nim wszedł, stojąc w progu towarzystwu się przypatrywał.

Milczenie nagle, pewien rodzaj zmieszania się, bardzo jawny, dał poznać staremu, że musiał tu wejść nie zbyt pożądanym i nie bardzo w porę. To właśnie było dla niego zachęcającem. Nie obawiał się nikogo a czasem ludziom dokuczyć lubił.

Witano go z widocznym zakłopotaniem, jeden Zenio rozciągnięty wygodnie, ruszyć się nie chciał i rękę tylko wyciągnął.

— Cóż to? graliście? — zapytał stary patrząc na stolik, na którym leżały jeszcze rozsypane karty. — Przy kim szczęście?

Nie rychło mu odpowiedziano.

— Możesz być pewien, że nie przy mnie, — rzekł smutnie Toni, oczyma pokazując Bercika.

Pułkownik siadł i zatarł ręce, kazał sobie podać grórk gorący. Na dworze było chłodno.

— A myśmy tu ogadywali waszego siostrzeńca, — ozwał się powoli Zenio.

Inni wszyscy spojrzzeniami na mówiącego zdawali się chcieć mu robić wyrzuty, że ich zdradzał niepotrzebnie. Zenio był w takim uzposobieniu, że mu język świerzbiał.

— Cóż macie mu do zarzucenia? zapytał zimno pułkownik.

— Co? wszystko! — mówił Zenio — on nas nie lubi, a my go nie rozumiemy. — Kuma się z szują a z nami żyć nie chce.

Pułkownik na wspomnienie szui drgnął.

— Fiu! fiu! — odbąknął, — gdzie? co?

— Słowo daję, pułkowniku! — potwierdził Zenio — zgorszeni jesteśmy formalnie!

Stary, któremu brwi się mocno ściągnęły, minę zrobił groźną.

— Seryo to mówisz? — wyjąknął surowo.

Zenio dla osłodzenia trochę rubasznego wyrażenia rozśmiał się.

— Słuchaj pułkowniku — zawołał żywo — znasz zasadę naszą — kto nie jest z nami, ten przeciwko nam??

— He! — zawołał pułkownik — a cóż z wami robić można? Z wami przecie poluje, je obiad, nawet tańczy — do czegoż wy więcej się zdacie? co z wami dalej nadto robić można? W karty nie gra, to trudno, ja go zastępuję.

Żeby zaś na seryo z wami poczynąć można! dalipan nie wiem. — Przeszkodzić do roboty umiecie doskonale, zahamować, opierać się... ale w istocie być czynnymi... z wiedzą tego, co się czyni? wy? W ręku innych narzędziami być możecie, samoistnej zaś pracy nie widzę, oprócz zielonego stolika i butelek, półmisków i — fartuszków...

Stary rozgrzał się mówiąc, ogromnie, ale nim dokończył swą diatrybę, wszyscy się jak jeden człowiek zerwali wołając, protestując, krzycząc. — Hałas zrobił się wielki; pułkownik stał jak mur i wąsa kręcił, rzucając zuchwale oczyma po nich...

Czekał, co dalej z tego być może...

Sławek, który najśmielszy był, co siłę miał i pojedynek dla niego był jedynym sposobem zrobienia reputacyi, wystąpił przeciw niemu.

— Przepraszam, pułkowniku — rzekł — to są wyrazy... to jest rzecz nam wszystkim uwłaczająca! Tego my znieść nie możemy! Cóż to? szulery jesteście? wakinjony jakiegoś, rozpustniki??

Samulski uśmiechnął się.

— Jesteście po prostu jak ja sam i jak znaczniejsza część społeczeństwa naszego — próżniacy i darmozjadzy.

— Coś się przecie robi! — zasapany zawołał Zenio, bijąc się po piersiach — ja, nie przyznając sobie żadnych zasług, nie zupełnie próżnuję... Coś się robi!...

— Co? — podchwycił pułkownik.

Nastąpiło milczenie; stary usiadł do groku. skosztował go i, podniósłszy głowę, zimno rzekł do stojącego przed nim Sławka:

— Chce ci się bić? he! jeżeli się czujesz obrażonym! nie żenuj się, wyzywaj, służę.

Śmiał się. Hrabia Sławek żuł coś niewyraźnego w ustach, na ostatek pomiarkowawszy się, odszedł kilka kroków i usiadł na boku.

— Pułkownik bo jesteś *pardon* gorączka! — począł chłodniej Zenio.

— Znaie mnie! — w istocie gorączka jestem — rzekł Samulski — mówię, co myślę.

— To u nas wszystkich jest w temperamencie... mówił Zenio, unosząc się na kanapie.

I nagle przerwał, pociągawszy nosem:

— Hm! z czem ten grok? Cognac czy rum?

— Cognac i dobry! — mruknął, uśmiechając się pułkownik.

Prezydent zadzwonił i kazał sobie także przynieść grok podobny, zalecając, aby był słodki i gorący. Hrabia Sławek poruszony, zaczął się przechadzać po pokoju, nie mógł jeszcze przyjść do siebie... Toni, który pragnął się odegrać, mrugał na Bercika, ażeby się do stolika zbliżył... Zaczęto tasować karty.

Kilka frazesów obojętnych o przyszłych zabawkach zatarły wrażenie poprzedzającej rozmowy i sporu. Sławek nawet był ndobruchany. Otaczano stolik, przy którym się milcząca gra rozpoczynała.

Toni, któremu znowu nieszcześciło się, podrażniony gotów był się mścić na kimkolwiekbydź.

Siedzący obok pułkownik wprawiał go w niecierpliwość jakąś, bo zdawał się jego zły szansie przyklaskiwać.

— Cóż, słyszeliśmy, że hrabia August się żeni? — wtrącił nagle zwracając do wuja.

— Nie wiem, ale i toby być mogło — odparł szydersko stary — jest nie żonaty, ożenić się może, gdy zechce a to mu nie przyjdzie z trudnością wielką. O tem cię zapewnić mogę i uspokoić, że nie z hrabianką Bertą...

Toni aż się rzucił zarumieniony.

— Cóż to ma znaczyć? — spytał.

— Nic prócz tego, że chociaż się u was na polowaniu i tańcach kręcił koło niej, ale złapać się nie dał!

— Kemu?

— Ślicznym oczom Złotowłosej — rzekł pułkownik.

Toni patrzył już w karty.

— Myśmy myśleli o innym mariażu — wybąknął.

— Naprzykład? — zapytał stary.

— Mówią o Szamotulskiej?

— Wdowie? — wtrącił żartobliwie pułkownik.

— Albo i córce — kończył Toni.

— Wiesz, że gdyby to w istocie zrobił — dodał stary — bardzobym mu powinszował. Na nie-szczęście nie zanosi się na to...

Przerwała się znów rozmowa, bo Toni przegrywający ciągle, cały już był w kartach.

Przybycie Samulskiego podziało na towarzysztwo w sposób rozkładający. Nie byli już w tej gromadce poufalej, swojej — obcy żywioł czuć się dawał. Niektórzy ziewali, inni, mruczając, się wysuwali. Pułkownik pił swój grok, palił cygaro i zdawał się nie zwracać na nic uwagi oprócz kart.

W saloniku wkrótce nie pozostał nikt, oprócz dwóch grających, Samulskiego, Zenia i Sławka. Ten nie wychodził widocznie, chcąc się jeszcze

rozmówić z pułkownikiem, który wcale na niego nie zważał.

Zenio miał też ochotę natrzeć na starego w nadziei, że nakłoni go do uczynienia pewnych uwag siostrzeńcowi co do jego postępowania.

Nie rychła gra się skończyła nową klęską dla Toniego, który naostatek przemógł się i, nie chcąc dłużej walczyć z losem, wstał od stolika. Dwaj gracze chodzili milczący po salonie, a Ber-cik, choć rad był się wynieść, sądził, że, wygranym będąc, zbyt szybko z placu nie powinien ustępować.

Zenio przybrał ton pośrednika, łagodny. Zbliżył się do starego i rzekł z cicha, wzdychając:

— Kochany pułkowniku! gdybyś nie zapalał się zaraz, moglibyśmy pomówić szczerze.

— Mówmy — odparł zimno stary.

— Wracam do kwestyi żywotnej hr. Augusta!! Masz wpływ na niego, zreflektuj go, zwróć nam tego człowieka, na którym my największe pokładaliśmy nadzieje!!

— Nie widzę, żeby je zawiódł — rzekł Samulski. — Lecz co się tyczy Gucia, mylicie się, sądząc, iż ja mam wpływ na niego. Jest to człowiek dojrzały i nie ulegający wpływowi żadnym.

— Ale wytłumaczże nam jego postępowanie! My go nie rozumiemy! odezwał się Zenio. Prawda, że się nie usuwa od żadnych wspólnych ro-

bót obywatelskich, ale... ale pomaga tu, chodzi tam, z wszystkimi jest dobrze... *Enfin!*

— Rozmówcie się z nim samym! — rzekł pułkownik — otwarcie. Wiem, że w czasie zapust tu będzie. Spotkacie się z nim... to najlepiej.

Dopiwszy groku pułkownik wyszedł. Zenio, Toni i Sławek zebrali się do kupki, zostawszy sami.

— Aha! — rzekł Zenio — zaszczyci tedy nasze zabawy obecnością swoją, hm... Należałoby się naradzić, jak go przyjąć!

Toni był zły i osobiście obrażony.

— Ba! — zawołał — samiście rzekli: kto nie jest z nami, ten przeciwko nam.... Ekskludować go nie możemy, niby jawnego powodu nie ma, ale dać mu czuć, że go za swojego nie mamy, żeśmy wcale z niego niekontenci, pokazać mu chłód albo i coś więcej — to nasz obowiązek.

Spojrzeni po sobie: Sławek, który na wuja był zagniewany, gotów był mścić się choć na siostrzeńcu.

— A, zapewne! — rzekł.

— Więc jakże? — pytał Zenio — bo nareszcie trzeba programu?

— Rzecz prosta bardzo — odezwał się Toni — okazać mu chłodem, odosobnieniem, że go za — obcego uważamy. Zdała ukłon, obchodzić go do koła, de kogo się zbliży — zbyć półsłowem i odchodzić.

Znowu popatrżeli na siebie.

Zenio wahał się, uważając to za nieco — ostrą naukę. Toniemu było i tego za mało.

— Już to za hrabiostwo Witów i pannę rękę, że, jeśli się do nich zechce zbliżyć, taką dadzą odprawę...

Oczy mu się zaiskrzyły.

— Naradzimy się jeszcze jutro — zakończył Zenio — bo — coś postanowić potrzeba. Jeżeli myśli uczestniczyć w tych zgromadzeniach, gdzie nas nie ma... no — to nam wypowiada wojnę.

— Oczywiście rzecz — potwierdził Toni — naukę mu trzeba dać. Magnatowi się zdaje, że może iść, jak mu się podoba, nie podlegając karności żadnej... chce być trybunem ludu — z Panem Bogiem, lecz w takim razie rozbrat z nami.

Sławek potwierdził gorąco — Tak! rozbrat z nami!

Rozeszli się wszyscy.

Hrabia August wcale nie przeczuwając, co go tu czekać mogło, wybierał się w istocie czasu zapust do miasta. Nie ściągały go tu zabawy, ale potrzeba zbliżenia się do ludzi i bliższego ich poznania. Pomimo usiłowań wnikięcia w stan umysłów, czuł się tu jeszcze obcym, chciał znowu zbliżyć się do tej społeczności, której pragnął być użytecznym, i popatrzeć na nią w jednej z tych chwil zapomnienia się, swobody, wesołości, gdy

charakter zbiorowy najwyraziściej a bezwiednie się uwydadnia...

Przybywał jako widz dla nauczania się czegoś, z najlepszymi chęciami, nie przeczuwając, ile już tu niechęci nań czekało, ilu ludzi przygotowywało się mścić na nim za mimowolne przewinienia.

Toni następnych dni niezmiernie był czynnym, biegał od domu do domu, szeptał, dawał hasła. Hrabstwo Witowie zostali uprzedzeni, ale tu jakaś resztką nadziei zrodziła niepewność. Nie chciano okazać urazy, ani stanowczo zrywać, ani mostów palić.

Berta, która coś podsłuchiwała z rodzicielskich narad i szeptów, weszła do pokoju matki z miną nadzwyczaj poważną i rozumną.

— Proszę mamy — odezwała się głosem, który wyrażał mocne postanowienie — niech papa i mama nie mieszają się do niczego i pozostaną jak byli. Ja sobie z nim dam radę!

— Z kim? — zapytała hrabina.

— Mama wie! — odpowiedziało dziewczę, trochę się rumieniąc. — Proszę spuścić się na mnie, bo mi mama popsuć może — bardzo proszę.

I wyszła. Dla matki było to rozkazem wierzyła w swe dziecko i jej rozum więcej niż we własny, nie mówiąc już o mężowskim.

Na karnawał ten wybrała się także z córką pani Szamotulska.

Z ciężkiem westchnieniem oznajmiła o tem przyjaciółce swej hrabinie.

— Zazdroszczę wam — rzekła — że możecie zostać w domu! Znam nadto te zabawy nasze, aby się po nich czego innego spodziewać nad żywioł nowy do plotek i komerażów... Ale mam córkę, której tak wiecznie w domu zamurowanej trzymać nie mogę. Ludzie i tak dziwne rzeczy prawią o naszym sposobie życia. Musimy się tam pokazać i nie zrywać z towarzystwem. Zresztą może Niuka się ożywi, jest dosyć smutna i nadto mało widuje ludzi. Trzeba myśleć o przyszłości.

Pani Szamotulska nie chciała tak przybyć sama, bez żadnej męskiej opieki. Znajomych bliższych miała mało, wezwała pułkownikową, której mąż miał towarzyszyć, aby jechały razem. Pani Samulska z córką musiała też jechać na ten karnawał, była to osoba dobra, cicha, cała zajęta mężem i dziećmi, skłopotana zawsze, gdy ją na świat z jej spokojnego kątku wyciągano. Rada była nie jechać sama. Pułkownik galant dla kobiet, ofiarował się chętnie Szamotulskie wziąć w opiekę.

Panie te równie jak hr. August i jego matka nie miały miru u ludzi. Żyły zbyt odosobnione, Szamotulska zabaw nie lubiła, usuwała się od wszelkich intryg. Zarzucano jej to dume, to szpiegostwo, to pedanterią.

Nina, nawykła do swojego życia, które sobie stworzyła i urządziła tak, że nudzić się i tęsknić za zabawami nie miała czasu — przez posłuszeństwo tylko dla matki jechała na te męczące fety, które ją nudziły. Starła się z początku wytłumaczyć jej, że to było zbytecznem, — ale Szamotulska ucałowała ją, uprosiła. Potrzeba było, jak mówiła, pokazać się światu, aby nie sądzono, że się nim gardzi i pomiata.

— Przebędziemy te dni kilka ciężkich, zrobimy ofiarę, potem powrócimy do domu, a nasza cisza i spokój jeszcze się nam milszemi i droższemi wydadzą.

Jechała więc Nina.

Złośliwi panowie, dowiedziawszy się o tem, tłumaczyli przybycie hr. Augusta chęcią asystowania Szamotulskim. Utrzymywano bowiem uparcie, że się kochał w Ninie, że ją bałamucił i że — choć się żenić z nią nie mógł, potajemny romans prowadził.

W miarę, jak się pora rozpoczęcia zabaw zbliżała, miasto coraz się bardziej ożywiało — każda z pań miała coś jeszcze do dopełnienia w toalecie, panowie należeli do gospodarzy pikników, do urządzających bale... Służyło to za doskonały pretekst do uwolnienia się od zajęć domowych i spędzenia kilku tygodni w małej stolicy, która wielką zastępowała...

Nie do poznania też zmieniło się miasto, bo wszyscy prawie panowie wykwintne swe ekwipaże poprzyprowadzali z sobą. — Pierwsza a nawet druga i trzecia restauracya ciągle były pełne; w ulicach mijali się niezmiernie zajęci, spieszący panowie, w obawie, aby chwil tak drogiej nie stracić na próżno. Toni był jednym z najruchawszych, chciał koniecznie urządzić jakąś demonstracyą przeciwko hrabiemu, na którego był do wściekłości gniewnym. Nie mógł mu swej omyłki darować!

Wszyscy mniej więcej godzili się na okazanie oziębłości temu dwuznacznemu magnatowi, który szedł samopas i ważył się tam uczęszczać, gdzie nie chodzili z zasady — ale zamanifestować się jawnie przeciwko człowiekowi takiego znaczenia, którego zawsze jeszcze pozyskać się spodziewano — nie zdało się politycznem. Toni zaś utrzymywał, że z tego człowieka kraj już nie będzie miał żadnej korzyści i że trzeba było mu dać poznać, żeby sobie — ztąd ruszał.

Podszezwanie to szło mu jakoś nie bardzo szczęśliwie — półgębkiem mu odpowiadano...

Zły był.

Jednego wieczora w restauracyi wieść się rozeszła, że — hrabia August już przybył.. Widziano go w teatrze...

Wszyscy prawie mający uczestniczyć w zabawie już się w mieście znajdowali. Hrabia Wit miał tu swój dom własny i jako możny pan trzy-

mał w nim całe piętro nie najęte dla tego tylko, by, jak mówił, nie zajeżdżać do karczmy, gdy mu się w mieście być podoba. Wprawdzie piętro to nie było urządzone z takim zbytkiem jak pałac na wsi — ale i tu mieszkał pańsko hr. Wit, któremu bardzo o to chodziło, by go miano za magnata.

Na coby mu się zdało nim być, gdyby nikt o tem nie wiedział?

Nazajutrz po ukazaniu się hr. Augusta w teatrze, z południa skromny koczyk zajechał przed dom hr. Wita i służący poszedł na górę spytać, czy jego pana przyjmują...

Berta nie była jeszcze ubraną, hrabia dał wiedzieć żonie, naradzano się, kto i czy miał przyjąć; — stanęło wreszcie na tem, iż w salonie Wit miał go powitać, a panie wejść później miały, bo Berta sobie tego życzyła...

Matka była zdania, iż mogły się całkiem nie pokazywać, córka wyrzekła, że życzy sobie wyjść koniecznie. Wola jej była rozkazem.

Z przyjęcia hrabiego nigdy nikt nie mógł się domyślać, czy był rad komu, czy się nań dąsał. Miał on jedną z tych twarzy skwaszonych naumyślnie, posępnych, na których jak we mgle nic dojrzeć nie można.

Hrabia wszedł wesół, swobodny jak zawsze, z uprzejmością wielką witając gospodarza, który jakając się, posadził go koło kanapy.

Rozmowa w najtrywialniejszy sposób zaczęła się od pogody i przechodziła do ceny zboża, gdy drzwi się otworzyły i hrabina Witowa weszła — jak gdyby z miasta wracała, wiodąc córkę za sobą.

Berta szła za nią uśmiechnięta, z tak doskonale przybraną wesołością trzpiotowatą, jak gdyby cała już była sercem w zabawach, które się dla niej przygotowywały.

W stroju rannym do miasta, w czarnym aksamicie i atłasach, z futerkiem sobolowem, w kapelusiku, który od niechcenia rzucony był na śliczną główkę, była jakby do portretu przystrojona — i cudnie piękną. Wiedziała o tem doskonale i dla tego może tak się zaprezentować chciała.

Po pierwszych przywitaniach i kilku wybuchach wesołości, Berta sama zaczęła hrabiego podziwieniem, że i on przecie przybył na karnawał, on, co się nigdzie nie pokazywał.

— Chciałem jeśli nie uczestnikiem to świadkiem być przynajmniej zabaw, które tak wszystkich ożywiły — rzekł hrabia.

— Dla czegoż nie uczestnikiem? — zapytała hrabianka.

— Bo mi trudno do diapazonu ogólnej wesołości nastroić się — odparł August. Nie nawykłem do niej, czas mój czem innem zajęty, mam pracy wiele...

— Tak. mruknął Wit — a administracja dóbr...

— Oprócz niej — mówił gość — są zajęcia obowiązkowe...

I urwał.

— Więc już nawet ani jednego mazura na panu wytargować nie będzie można? spytała Berta złośliwie i napastliwie.

— Sądzę, że lepszych odemnie tancerzy nie zabraknie — rzekł śmiejąc się hr. August — ja już należę do rezerwy...

— A ja liczyłam go do służby czynnej — odezwiała się hrabianka...

Hrabia bo masz tradycją mazura, i szkoda talentu do narodowego tańca zaniedbywać, choćby dla tego, że nasz jest...

Hr. August rozśmiał się.

— Ja w mój talent nie wierzę, rzekł, ale za uznanie go bardzo pani dziękuję...

Gdy w salonie toczyła się ta rozmowa, przy której oczy nie próżnowały — Toni przechodzący ulicą, spostrzegł kocznyk hr. Augusta przed domem Witów, a że znał wszystkie uprząże i konie, nie miał najmniejszej wątpliwości o właścicielu...

Hr. August z wizytą u Witów! Niezmiernie to obudziło jego ciekawość. Chciało mu się wejść, aby być świadkiem, lecz... jak się tu znaleźć w obec nieprzyjaciela?

Chwilę zaledwie namysliwszy się, Toni wbiegł na górę.

Odwiedziny te — któż wie? mogły zupełnie zmienić stan rzeczy. Musiał się naocznie przekonać o ich znaczeniu. Był we drzwiach salonu, gdy właśnie hr. August, nachylony nieco ku Bertcie, wesoło się z nią ucierał o mazura...

Hrabina sztywna bardzo siedziała na kanapie, Wit w krześle z pochmurnem obliczem, zdawał się coś w zamkniętych ustach przeżuwać.

Wejście Toniego było bardzo na rękę wszystkim — gospodarstwo oboje zwrócili się ku niemu, a Berta, kiwnąwszy główką, przywłaszczyła sobie pierwszego gościa z natarczywością dziecięcą, prześladując go i drażniąc..

Na twarzy Augusta nie widać było najmniejszego zakłopotania, śmiał się, dowcipkował, był rozweselony i widocznie ładnem dziewczęciem zajęty.

Jak gdyby najmniejszej doń nie miała urazy Złotowłosa odzyskiwała wszystkie swe prawa niegdyś w tańcu zdobyte... Doprowadziła go wreszcie do tego, że jej na przyszłym balu przyrzekł służyć do mazura.

Toni słuchał i patrzył zdumiony, milczący i, gdy najserdeczniej żegnany hrabia wyszedł, pozostał w niemem osłupieniu spoglądając po rodzicach.

Matka z córką natychmiast się wysunęły...

— Więc cóż? zapytał Toni gospodarza żującego jeszcze wyrazy niewymówione... Więc cóż teraz?

— Jakto, cóż? zapytał Wit.

— Mieliśmy go... mieliśmy mu, hrabia wiesz... zmanifestować nasze oburzenie... rzekł Toni.

Wit się wstrząsnął cały...

— Róbcie panowie, co się wam podoba. rzekł żywo — proszę tylko nas nie mięszać do niczego... Ja o niczem wiedzieć nie chcę...

Toni głową kręcił, nie pewien, co ma czynić dalej; odwoływać tego, co było umówionem, nie zdawało mu się... Nie było powodu...

Położenie stawało się krytycznem. A nuż, obrzydając mu pobyt tu i towarzystwo, mieli go zrazić od Berty w chwili, gdy się zdawał do niej powracać??

— Te wszystkie wasze manifestacye, zakończył hr. Wit dobitnie — to wielkie głupstwo!!

* * *

Ogromny salon, na którego chórze maleńkim muzyka zbierała się właśnie i kiedy niekiedy odzywała strojeniem instrumentów — wcale nie był pięknym. Nagie ściany, niesmaczno na nich poprzyczepiane gazowe świeczniki, ławki i krzesła, na których długą służbę znać było, posadzka świeżo wywoskowana a nie dawno połatana — wcale nie dawała wielkiego wyobrażenia o mieście stołecznem prowincyi. Ale ta ogromna stodoła, jak się ktoś wyraził niegrzecznie, miała to za sobą,

że wielką ilość osób mogła pomieścić. Wszystkie tłumniejsze narady, uroczyste obiady i bale świetne w niej się zwykły były odbywać.

Nie było większej nad nią.

W tej chwili zaczynały się już zjeżdżać panie, gospodarze w białych rękawiczkach i krawatach stali u drzwi... Mężczyźni kupkami porozdzielanych było dosyć. Kobiety wchodziły ciągle i spieszyły zająć miejsca, któreby je na ambarasujące sąsiedztwa nie narażały.

Towarzystwo mniej więcej miało się składać z jednolitej warstwy obywateli z prowincyi, jednakże niepodobna było w mieście niektórych żywiołów dwuznacznych uniknąć... Doktor wprawdzie był szlachcic i bardzo dobrego rodu, ale żonę miał z miasta, a tu znowu profesorowa, córka obywatela, z córkami — nie mogła być wyłączoną.

Tam, gdzie wpływ obcy nie popsuł starych naszych obyczajów, najmniej jest tej zazdrosnej wyłączności szlacheckiej, która nie chce się ocierać nawet o to, co się do niej zaliczać nie ma prawa — ale w wielu prowincyach powiało już zarazą kosmopolitycznych pojęć — a tam szlachcic stał się jakby inną zupełnie istotą, z pospolitymi ludźmi nic nie mającą wspólnego...

I tu czuć było przyniesiony ten obyczaj odosobniania się.

Paniom więc szło o to szczególnie, aby nie zostały narażone na kompromitujące sąsiedztwa...

Drażliwsze z nich zapewniały sobie z obu stron znajome, przyjaciółki, kogoś, coby był — *des notres*.

Księżę Edzio, którego żona, bardzo bogata dziedziczka, szlachcianka ale nie zbyt głośnego imienia, nie mogła mieć z siebie pretensyi do zajmowania stanowiska wysokiego — poprzedził żonę do sali z obawy, aby nie siadła, gdzie — jej nie należało... Wybrał sam miejsce przy hr. Witowej i starej S..., która była z domu księżniczką.

Dopiero umieściwszy ją, z drewnianą swą nadętością poszedł uspokojony do grupy, w której dojrzał najgłośniejsze imiona.

Hrabia Sławek należał do gospodarzy, — poruszał się więc przy drzwiach, usiłując być nadskakująco grzecznym dla wszystkich...

Nie dawno jeszcze pusta sala nagle się wypełniać zaczęła, bo nikt do pierwszych należeć nie chciał i na jedną godzinę jakby zmówili się wszyscy.

Muzyka stroiła coraz głośniej.

Na sali szept rozmów i śmiechy wesołe przełatywały. Oglądano się wzajemnie. Każda z tych pań porównywać musiała ubranie swe ze strojem współzawodniczek.

Na złotowłosą Bertę zwracały się oczy z zazdrością: miała suknię z Paryża a do niej strój z kwiatów i liści najwytworniejszego smaku. Wydawała się jakimś bóstwem leśnem, jakąś Rusał-

ką, czemś tak pięknem, iż się oczom wierzyć nie chciało, że rzeczywistość. życie mogło być tak idealnem.

Matka patrzała na nią z dumą, ojciec się zachwycal, młodzież bolała, że ten owoc zawieszony był tak wysoko — panny szeptały, że niepotrzebnie dał jej Bóg miliony posagu, gdy ją w taką piękność wyposażył.

Pierwsze miejsca już były pozajmowane, gdy we drzwiach zjawiała się pułkownikowa z Szamotulską a za niemi Iza, córka pułkownika i Nina.

Ta tak się dotąd mało ukazywała światu, iż była prawie nową dla wszystkich postacią. — Nie była to olśniewająca piękność, twarz jej może nawet starszą ją czyniła, niż była, lecz w rysach miała coś tak sympatycznego, w wyrazie ich taką naiwność prawdziwą, w spojrzeniu taką odwagę dziewiczą, że wśród tego tłumu ładnych twarzy ściągała oczy na siebie tajemniczym jakimś urokiem. Wieści, które chodziły o tem, że się w niej hr. August kochał, czyniły ją zajmującą i ciekawą.

Wejście tych pań skromne i ciche, zrobiło więcej wrażenia, niż chciały. Życzyły sobie wsunąć się niepostrzeżone i zajęły miejsce w pierwszym wolnym kątku, wcale się nie troszcząc o sąsiedztwo. Zaledwie siadły, kółko ciekawych otoczyło je, trzymając się w pewnem oddaleniu, z re-

spektem. jaki mieć musiano dla pułkownika, bo z tym żartować nie było można.

Nina rozpatrywała się po sali — z zimną krwią kobiety, która nie wiele przywiązywała wagi do tego, co ją otaczało. Berta wyglądała ku drzwiom, niecierpliwa, szukając oczyma hrabiego.

Nie było go dotąd. Toni zawsze jeszcze stojący przy tem, że naukę mu dać potrzeba było, widząc, że się spóźniał, nalegał na to, aby umyślnie bał rozpocząć od walca... Rozstały się grupy, kilka par za danym muzyce znakiem puściło się, wirując po sali...

Berta jedna z pierwszych zaproszoną została i furknęła jak ptaszę... W tej chwili właśnie wchodził hr. August z angielską prostotą nbrany, zamysłony, poważny, — Gospodarze u drzwi stojący zaledwie mu jego ukłon oddali, ręki nie wyciągnął nikt, słowa nie rzekł, rozstąpiono się jakoś dziwnie: lecz nie zdając się zważać na to, hrabia wprost poszedł do pułkownika, którego niedaleko stojącego zobaczył...

Po drodze mężczyźni tak samo w milczeniu usunęli się, niektórzy odwracając, aby uniknąć przywitania.

To, co u drzwi mogło się zdawać przypadkowem, tu już jawnie, stało się rozmyślnem. Samulski, któremu oczy się zaiskrzyły, podniósł głowę, usta ścisnął, brwi namarszczył. August zdawał się albo nie rozumieć przyjęcia, jakie go tu

spotkało, albo nie przywiązywać doń wagi. Twarz jego nie zmieniła wyrazu, nie przeszedł po niej najmniejszy cień. Stał za nadto wysoko, aby go to dosięgnąć mogło.

W chwili, gdy się ta umówiona demonstra-cya odbywała, człowieczek osławiony jako przewódzca obozu, który z zachowawczym był w wojnie, skłonił się hrabiemu, który rękę wyciągnął, uściśnął dłoń jego i kilka słów do niego przemówił.

Na twarzy biednego proskrybowanego okazał się lekki rumieniec...

Toni łokciami trącał sąsiadów, aby im tę scenę pokazać.

Nie wątpił, że była ułożona zawczasu... Hrabia Zenio, przypatrujący się też zdała, oczy zmrużył, usta wydał — twarz jego mówiła dobitnie: — To wypowiedzenie wojny!

Szybko wpadł między swoich zaogniony Toni — szepleniąc ze wzruszenia:

— Teraz już nie ma wątpliwości! wiemy, dokąd i z kim idzie! a zatem — hasło!

Spojrzeni po sobie, hrabia Zenio, który owego przeciwnika tak uprzejmie powitanego nienawidził z całej duszy — zapalczywiej jeszcze niż Toni, oburzył się — zżymnął, dał głową znak.

Zrozumiano się. Miejsce, w którem stał pułkownik z hrabią, jakby czarodziejskiem kołem opasała próżnia. Ci, co byli bliżej, poczęli się cofać,

rozstępywać, uchodzić. Hrabia z wujem zostali odosobnieni.

Kończył się walec i hrabia, przywitawszy panią Szamotulską i jej córkę, z któremi rozmawiał chwilę, poszedł się uklonić hr. Witowej i jej córce.

Berta właśnie wachlarzem się ochładzała po walcu i oddychała jeszcze szaleńcem tańca, gdy hrabia zbliżył się do niej. Przyjęła go wejrzeniem dawnem, choć trochę szyderskiem...

— Przypominam pani mazura — odezwał się hrabia August.

— Ah! Mazura! — odparła, kręcąc główką — a ja właśnie miałam pape prosić, aby za mnie przeprosił hrabiego... Cznę się tak dziś nie dobrze, iż go tańcować nie będę.

Rachowała na niezmierne wrażenie. — Hrabia się uśmiechnął i uklonił; spojrzał jej w oczy tak, iż spuścić wzrok musiała, i odszedł powoli.

Wszędzie po drodze mężczyźni z tą samą niaby nieumyślną zręcznością wymykali mu się.

Spotkał hrabiego Zenia, który zdala wzrokiem go zmierzył i, gdy się doń zbliżał, ostentacyjnie odszedł na bok.

Ci, co stali niedaleko, mówili, że hrabia August, widząc to, rozśmiał się serdecznie.

— Kochany wuju — odezwał się, podchodząc do pułkownika — od mazura jestem uwolniony i na resztę wieczora, ponieważ wszyscy są zajęci

tańcem, iż mi się im przeszkadzać nie chce, zamawiam sobie łaskawe wasze towarzystwo.

W pułkowniku wrzało wszystko.

— *Mille bombes!* to są d....e. — Wyraził się tak ostro, iż August musiał mu szepnąć na ucho:

— Wujaszku! nie gniewaj się — to przedziwne.

Ostracyzm, jaki spotkał hrabiego, nie rozciągał się do panny Szamotulskiej, chociaż i ta mogła się znaleźć na liście proskrypcyi. Młodzież nadrujnowana i zupełnie już zubożała — pamiętała, że jedynaczka miała Szelchów, ślicznie zagospodarowany. Dla kogoś, co ojcowiznę stracił, majątność taka była niepospolicie nęcącą. Można było z nią lat kilka świetnieć, nimby się dopracowało subhasty...

Nie zbywało więc pannie Ninie na prezentujących się, przypominających, zapraszających do tańca.

Nawet ów siostrzeniec Toniego, który w czasie myśliwskich wieczorów gospodarzył, stawiał się i zawiązał rozmowę.

Nina musiała z nim pójść do mazura. Zdawało się, zdala na nią patrząc, że za nadto do skoków była poważną; ale gdy się ożywiła, wystąpiła, zdumiano się klasycznemu wdziękowi jej ruchów i blaskowi, jaka piękność ta przysłonięta skromnością przybrała.

Mężczyźni stali pekazując ją, szepecząc, admirując.

Berta, będąc zmuszoną opuścić mazura, — dała się jednak dwa razy wybrać do figur, a przesuwając się w nich obok hr. Augusta, wypowiedziała mu wzrokiem całą zemstę, jaką pałała...

Hrabia był tak zimnym, że tego nie zrozumiał.

Mężczyźni, chociaż udawali, że Augusta nie widzą i że dla nich nie istnieje, z ukosa wpatrywali się w niego. Dziwnem się im zdawało, że pocisku, który mu w piersi powinien był utkwąć, nie czuł. Rozmawiał z wujem, z panią Szamotulską, z kuzynką pułkownikówną. Śmiał się — nie robiło to na nim wrażenia.

Toni był najpewniejszym, iż wkrótce salę opuści — pozostał.

Gdy Nina wróciła na swe miejsce, zbliżył się do niej.

— Chcesz pani przyszłego mazura z tak złym jak ja tancerzem spróbować? — zapytał.

Szamotulska spojrzała nań.

— Hrabia nie lubisz tańca — rzekła — to wiem; ja nie bardzo w nim smakuje. Po cóż się do tego zmuszać!...

— A jeżeli z kim innym masz pani pójść — i nie będziesz mogła odmówić, czemuż nie zemną?

Za całą odpowiedź panna znak jakiś główką dała i uśmiechnęła się.

W tej chwili, gdy umowa została zawartą, zdala podchodził nachmurzony hr. Wit, wysłany przez córkę w poselstwie do Augusta.

Złotowłosa wypocząwszy, ukarawszy a nie chcąc być nazbyt okrutną, zapraszała do drugiego mazura.

August poskoczył sam się wytłumaczyć.

— Pani mi daruje! nie wiedziałem, nie przeczułem, że mnie to szczęście spotkać może — i otrzymałem już mazura tego od mojej sąsiadki, panny Niny.

— A! — odparła Berta, pokazując ząbki białe — przepraszam!

Odwróciła się żywo.

Muzyka grać zaczynała, pary się ustawiały, hrabia August Ninę prowadził zarumienioną, ale nie okazującą tej dumy po sobie, jaką w niej dojrzeć się spodziewano.

Toni, patrzący z boku, zamruczał:

— Szamotulskie go już mają! Ja to od razu przeczułem!

Złotowłosa zmusiła drewnianego księcia, który tańczył jak poliszynel, żeby jej, służył do mazura. Niezmiernie o małżonka zazdrosna żona bladła i prowadziła tak żywą rozmowę, aby nie dać poznać gniewu, iż sąsiedzi go musiały się domyśleć.

W mazurze piękniejszej pary nie było nad hr. Augusta i Ninę...

Berta mogła być zachwycającą, ale książe włożył się za nią z niezgrabnością tak śmieszno, iż jej ochotę odbierał i gniew wzmacniał. W myśli też miała zupełnie co innego — zemstę.

Zemsta! Jakaż być mogła zemsta kobiety? Rozkochać tego buntownika, przywieść go pod stopy swoje, a potem — któż wie? odepchnąć może ze śmiechem.

Ale rozkochać ten głaz, który już może w sercu miał miłość inną, i każda inna zwątpiłaby może — nie Berta. Czuła się wszechmocną, byle jej nie przeszkadzano.

W mazurze figura zbliżyła ją do hr. Augusta. Chociaż wejrzenia jej unikał, manewrowała tak sztucznie, iż je w nim utopiła. Nie był to już wzrok dawny, ostry, groźny, przejmujący — ale smutny, błagalny, łzawy...

Hrabia czuł się wzruszonym, serce mu uderzyło...

— Po mazurze, panie hrabio jako indemnizacyi wymagam rozmowy!

Nigdy to dziecko nie było jeszcze tak śmiałym. Matka i ojciec spoglądali na nią z trwogą.

Mazur przeciągnął się długo; wśród figur krzyżując się z młodym synem Zeniego, który ją zamówił do następującego kotyliona, Berta rzuciła mu:

— Głowa mnie boli — kotyliona nie tańcuję, nie mogę!

Młodzieniec był w rozpacz.

Hr. Witowej, która więcej odgadywała niż widziała wśród tańca, przeczuwając, że Berta zrobi jakiś *coup de tête* — serce biło strasznie.

Wit, nie spuszczaający oka ze swej jedynaczki, truchlał.

Zaledwie się mazur skończył, Berta dała znak matce nakazujący jej zająć miejsce w przyściemnionym kątku sali.

— Gdy się hr. August zbliży do nas i zacznie ze mną rozmowę, mama sobie znajdzie jakiś — pretekst, aby mnie tu z nim samą zostawić.

— Dziecko! zawołała hrabina.

— Proszę o to mamy! dodała niezmiernie wzruszonym głosem Berta — proszę — koniecznie.

Był to rozkaz, matce lży się zakreśliły w oczach, była w rozpacz, obejrzała się szukając męża, aby jej przyszedł w pomoc. Hr. Wit był otoczony — ruszyć się nie mógł. Berta tupiała nóżkami, powtarzając:

— Proszę mamy! *c' est dit!* mama sobie odejdzie...

Zaledwie się te szepty skończyły, gdy hr. August, który Berty już szukał po sali i domyśleć się nie mógł w tym kątku, zbliżył się... Dawała mu znaki wachlarzem...

— A! — zawołała zdala — zmęczona jestem strasznie! Hrabia bawić mnie musisz, bo kotyliona jużbym nie potrafiła — nie mogła tańco-

wać... Muszę mieć odwet. Trzeci mazur będzie mój! a choćby na niego do białego dnia czekać przyszło. — Jestem skompromitowaną, okropnie! chwaliłam się tem, że hrabia ze mną go będziesz tańczył!

Hrabia August patrzył się na rozdąsane dziecko i uśmiechał.

Matka w tej chwili wstała, podchodząc do pani Neidy, która się szczęściem w bliskości znalazła. Zostali sami.

Berta zaczęła od rozczulonego wejrzenia, zwolna małą rączkę położyła na ręce hrabiego.

— Prawda? ja się muszę wydawać rozpieszczonym trzpiotem?

— Gdyby nawet tak było, jest z tem tak ładnie, że...

— Ale mnie to guiewa! bo ja — wcale taką nie jestem, jak się wydaje. Dla wszystkich niech sobie będę, czem się im mnie nazwać podoba — ale dla hrabiego.

Ostatnim słowem towarzyszyło zabójcze spojrzenie. W tym półmroku, zarumieniona, zdyszana, rozgorączkowana tańcem, rozruszana uczuciem jakimś — śmiała i napastliwa Berta była — niezwykłą.

August uczuł to i uląkł się.

Drżącą rękę trzymała na jego dłoni. wzrok topiła w nim, pokorny razem i palący, zażawiony i tyrański.

— Tak — mówiła żywo. — Nie ma nic na świecie boleśniejszego nad być nie zrozumianą. Przez tłum — a! to nie obchodzi, ale przez kogoś wybranego...

August spojrzał zdziwiony.

— Mówię, co myślę — dodała. — Szczera jestem jak dziecko, ale czuję i myślę, jakbym bardzo starą była... Hrabia sam łatwo zrozumiesz, że wśród tego towarzystwa, składającego się z nicości, wybranym być musisz...

— Nie żartuj pani ze mnie tak Nielitościwie — odezwał się poważnie i smutnie hrabia August. — Mówmy seryo...

— A! — pod moim uśmiechem — przerwała Berta — jest wyraz... seryo, bardzo seryo...

Rozmowa w te słowa rozpoczęta ciągnęła się długo, tak długo, że hr. Witowa w końcu, chcąc dać znać, iż czas jest ją przerwać, parę razy się zbliżyła i na znak dany przez despotyczną córkę oddalić się musiała.

Hrabia August wstał wreszcie poruszony i zakłopotany, a za odchodzącym Bertą rzuciła jeszcze przypomnienie mazura.

Odgadywano i tłumaczono najrozmaiciej tę długą, tajemniczą rozmowę, ciekawość rozbudzoną była do najwyższego stopnia — lecz nic pewnego nie dawało się wywnioskować ani z wesołej twarzy hrabianki Berty, ani z poważnego oblicza Augusta.

Ojciec i matka panny zdawali się mieć najlepsze nadzieje — wierzyli w dziecię swe i potęgę jego.

Po ostatnim mazurze, który szczególnie interesował tem, że ów hr. August, tak kwaśno przywitany, wesoło bardzo, ochoczo i żwawo tańczył go z hrabianką Złotowłosą, nastąpiła długo oczekiwana wieczerza. Przy tej miejsca zajęły kobiety, bo ich było za mało, a mężczyźni poprzyśiadali się w kątach, gdzie kto mógł. Postawwszy się o posadzenie pani Szamotulskiej i pułkownikowej, August z wujem obejrzeli się, gdzieby dla siebie znaleźć mogli róg jakiego stolika. Wszystkie już prawie zajęte były przez tych panów, którzy tak chłodno i z widoczną niechęcią przyjęli hrabiego. Chociaż mało na to zdawał się zważać, w tej chwili wstrzymał pułkownika, który chciał się przysiąść do Zeniego.

— Nie uważałeś — rzekł — jak mnie tu przywitano, kochany wuju, nie wypada mi do żadnego z tych panów przysiąść się, jakbym się chciał im narzucać. Musimy znaleźć dla siebie osobne gdzieś nakrycie.

— Jeżeli tak — rzekł stary — to najlepiej zrobimy, gdy nasze panie komu innemu oddawszy w opiekę, co ja zaraz mogę zrobić, zostawując im Stefka na usługi i szepnąwszy słowo — sami pójdziemy zjeść do restauracyi i z balu skwitujemy.

— Z największą przyjemnością! — odparł August.

Przy stoliczkach, jak się zdaje, spodziewano się hr. Augusta, może nawet gotowano się do rozprawienia z nim, bo miejsce kilku dla nich nieznacznie opróżniono — zdziwienie było wielkie, gdy, wzięwszy pułkownika pod rękę, August się z jadalnej sali wysunął.

— A! więc zrozumiał! — zamruczał Zenio. — To nie szkodzi! Ale hardy panek zamiast starać się przejednać, *fait fi de nous! a la bonne heure!*

Chociaż niby rad był temu Zenio i inni, pospuszczali jednak nosy...

Hr. Wit, który wszystko widział, choć nie zdawał się na nic patrzeć, mrugnął na Toniego.

Nic nie mówiąc, dał mu znak, wskazując drzwi, któremi wyszedł August.

— Ha! no! stało się — rzekł Toni — tak! pospieszyliśmy się może, ale wina nie moja, tylko Zenia i Sławka. Słowo daję.

Wit żując, głowę potrząsał.

— To się później zagładzi i złagodzi — dodał, uspokajając Toni. — Zobaczysz hrabio... Wszakże to bal nie ostatni, ale pierwszy...

Hrabiance Bercie szepnęła matka o wyjściu człowieka, którego szukała oczami a może się spodziewała jeszcze widzieć przy sobie.

Złotowłosa serwetę w rączkach zwinęła gniewnie.

Bal dość ożywiony przeciągnął się jeszcze po wieczerzy aż dobrze ku porankowi, ale już nie wszystkie mamy i córki nie wszystkie dotrwały do końca. — Pułkownikowa z Szamotulskimi wcześniej się wysunęła.

Nazajutrz był dzień spoczynku a u hr. Witów herbata, na którą małe kółko lepszych znajomych się zebrało. Ani pułkownik ani hr. August nie przybyli.

Toni, który gdzieindziej zasiedział się przy zielonym stoliku, bardzo nie rychło wszedł do salonu i w progu zaraz przywitał Wita, schylając mu się do ucha.

— Nie wiesz, hrabia?

— O czym!

— August wyjechał dziś do domu!

Spojrzał nań, uśmiechając się tryumfująco.

— Zszedł nam z placu! — dodał.

— Ja nie wiem, czy siętem trzeba cieszyć — odparł Wit.

Na tem skończyli. Nowina poszła od ucha do ucha i zapewne musiała dojść do hrabianki Berty, gdyż mocno się zarumieniła i batystową chusteczkę wzięwszy w zęby zagryzła ją z gniewem, oczyskierowały się na Toniego z takim wyrazem oburzenia, jakby go w miejscu ubić niemi chciała.

Dowiadowano się, czy pułkownik nie wyjechał także, ale ten, jak mówiono, pozostał. Niektórzy domyślali się, że i hr. August później po-

wrócić może jeszcze na drugi bal albo na zapowiedziany piknik.

Spytany o to pułkownik odparł zimno, iż nie wie nic o siostrzeńcu, oprócz że lekka choroba matki, do której był przywiązany mocno, powołała go do Augustówki.

— Nie wiem zresztą — dolożył, zwracając się do Zeniego — czy mu się będzie tak bardzo chciało wracać na te gody, bo to człowiek nie do tańca, a współobywatele nie tak byli dlań uprzejmi, aby mu pilno było nazad do nich.

Zenio dumnie zdziwioną zrobił minę. Samulski, nie chcąc się wdawać w dłuższe rekryminacye, odszedł na bok i mówić zaczął o czem innem.

Wyjazd, który nie był bez znaczenia, w obozie przeciwników hr. Augusta wywołał kwasy.

Chciano dać nauczkę magnatowi, ale teraz, gdy się usunął, nikt winy zupełnego zerwania z człowiekiem, którego wszyscy potrzebowali, nie chciał brać na siebie.

Zrzucano wszystko na Toniego; on się zaprzysięgał, że uczynił to tylko, co mu zlecono, co było wolą ogółu.

— Bądź co bądź — poważnie zakończył Zenio — człowiekowi jak on należała się pewna wyrozumiałość i względy.

Jeżeli się od nas usunie a na przekór poda rękę naszym przeciwnikom, stracimy wiele! bardzo wiele!

— E! — zawołał książę, przytomny rozprawom — żyło się bez imci pana lat tyle, obchodziło się dawniej, obędzie się i na przyszłość!

A co się tyczy przeciwnego obozu!! nie może się skompromitować, on, przechodząc do niego *Il se respecte trop!*

— Ja zawsze mam za zasadę — rzekł prezydencyonalnym tonem Zenio — że nie trzeba nieodwołalnych kroków czynić, chyba w ostateczności!

Złotowłosa Berta nigdy tak nadzwyczaj, tak nienaturalnie, szalenie wesołą nie była jak w tym karnawale. Trzpiotała się, dokazywała, zdawała szczęśliwą a młody hrabia Medzio, chłopak, który już był wszystko stracił krom nadziei bogatego ożenienia, wybrany przez nią za *caraliere serrente* na cały ciąg zabaw, postradał resztkę zdrowego rozsądku, jaką uratował z rozbicia po bujnej do zbytku młodości.

Biedna matka za to od pierwszego balu tak była przybitą, smutną, chwilami nie przytomną, iż czasem dwa i trzy razy do niej przemówić było potrzeba, nim zrozumiała i odpowiedziała.

Twarzyczka też wesołego dziewczęcia mimo trzpiotania się, może ze znużenia, z każdym dniem była bledszą, oczki patrzyły smutnie, a w domu hrabiostwa służące po cichu mówiły, że wieczorami płakiwała.

Pierwsza w życiu walna bitwa przegrana, pierwsze upokorzenie i przekonanie się o bezsilności bywa okropną męczarnią.

Jawnem było, że hr. August jej uszedł, że go postradała. Tłumaczyła to sobie nie własną winą wprawdzie ale niegodziwą głupotą Toniego, a mimo to przebaczyć, darować nie mogła, że łamiąc wszystkie zapory hrabia nie powrócił do niej. Gniewała się na rodziców, na cały świat, a najbardziej na niewdzięcznika.

Nie kochała go wcale, ale wyrrywający się jej zdawał się ponętniejszym. W ostatniej rozmowie oceniła wielkie przynioty jego umysłu. Znalazła go daleko żywszym, swobodniejszym, mniej sztywnym, niż sobie wyobrażała. Był nawet miły. wejrzenie miał mówiące, rozumne... Musiał nawet mieć serce!

Do końca karnawału, chociaż się go spodziewano ciągle, hr. August już się nie pokazał. A zapusty były szumne jak nigdy i Toni, co mu się nigdy nie zdarzało, wygrał w ciągu dwóch wieczorów kilka tysięcy talarów. To mu osładzało nieporozumienie z hr. Witem, który od niego unikał milczący i okazywał żal wielki.

W środę popielcową dowiedziano się z przestraszem, że hrabianka Berta, która, jak mówiono, wychodząc z balu zaziębiła się, musiała się w łóżko położyć. Wieczorem już nie jeden doktor domowy, ale trzech było przy niej. Nerwowa gorączka

bardzo niebezpiecznego charakteru zdawała się grozić. Przestрах rodziców był nie do wypowiedzenia. Jedyne ich dziecko, jedyna nadzieja, śliczny ten anioł — na łóżku boleści, a obok posępne twarze lekarzy, nie śmiejących obiecywać nic, pocieszających pół słowy, nakazujących spokój i nadzwyczajną baczność.

Jak przepowiadano, gorączka rozwinęła się silnie, strasznie, ale młodość miała ją czem pokonać, po pierwszym przesileniu lekarze ręczyli za życie, zapowiadając tylko długą rekonwalescencyą.

Pod koniec choroby prześliczne owe włosy, któremi Berta się tak pyszniła, wypadać zaczęły, twarzyczka zmieniła się straszliwie. Cień to był ledwie tego życiem tryskającego dziecka, które jakby z grobu po tej chorobie wstawało.

Obiecywano wprawdzie, że ślady jej w krótcie ustąpią, że życie znowu z dawną się siłą rozwinię, lecz dla biednej matki jakże powoli przychodził ten powrót do zdrowia.

Słabość zdawała się też dziwnie zmieniać charakter wesołej, dumnej, żywej Berty. Została z niej smutna, onieśmielona, bojaźliwa, płaczliwa jakaś, roztkliwiona, wcale do siebie nie podobna. Godzinami siadywała zadumana, nie bawiło ją nic, wszystko, czem ją rozerwać chciano, było obojętnem. Rodzice i z porady doktorów i sami chcieli ją wywieść na południe — Berta i temu się opierała bez żadnej jawnej przyczyny.

Karnawał oprócz tego smutnego zakończenia mało ziścił pokładanych w nim nadziei, jedno tylko skojarzyło się małżeństwo i to takie, na które wprzód już rachowano.

W pierwszych dniach postu dawno dojrzewający projekt wielkiego stowarzyszenia, które miało cel dwoiści, ekonomiczny i społeczny, a wymagało bardzo znacznego kapitału, dojrzał do tyła, iż zaczęto zbierać podpisy na fundusz zakładowy. Brak kapitałów, na które chorowała prowincya zawsze, okazał się jawnie, pomimo najgorliwszych starań ze strony promotorów. Godzili się na to wszyscy, iż hr. August mógł być silną podporą i że dla niego niewiele znaczyło dopełnić sumę żądaną, aby instytucya weszła w życie.

Lecz nikt go teraz nie widywał, on nie szukał nikogo, nie było sposobu zbliżenia się doń. Zenio, który wszędzie chciał jakąś ważną grać rolę, i tu krzątał się, zawczasu sobie zapewniając co najmniej wybór do nadzorczej rady. Szło mu o to wielce, ażeby rzecz przyszła do skutku.

Nie będąc pewnym, jak go przyjmie hr. August, puścił się w pogoń za pułkownikiem, chcąc go użyć za pośrednika.

Lecz na pierwsze słowo o tem stary rękami strzepnął...

— Nie zdałem się zupełnie za faktora, w każdym interesie — rzekł ostro. Dajcie mi pokój i

Gucio ma swój rozum i opieki nie potrzebuje. Mówcie z nim...

Zenio zamilkł i zadumał się.

Tymczasem sprawa nagięła. Ci, co sami nie chcieli się na odmowę narażać lub na chłodne przyjęcie, popychali Zenia, któremu się nie chciało być kozłem ofiarnym. Ale rozbijał się napiętniejszy plan, wymykało z rąk wszystko, jeżeli kapitału zabraknąć miało. Wyczerpano resztki ofiarności ludzi jeszcze nie zupełnie zrujnowanych a mających kredyt.

Zenio z heroizmem obywatelskim oświadczył się, że pojedzie.

Przytomnym będąc na wszystkich naradach, przy których kwestyą roztrząsano, miał zręczność nabierać argumentów, jakichby sam z siebie nie stworzył. Zbrojny niemi, choć nie bez pewnej trwogi, zająchał jednego dnia wczesnej wiosny przed ganek pałacu tej Angustówki, o której życiu takie dziwne opowiadano.

Hrabina Marya właśnie wracała od probostwa i szkółki, książkę nabożną trzymając w ręku, gdy Zenio wysiadał. Pozostała chwilę, nie zbliżając się do ganku, bo nie była mu znajomą; kamerdyner wprowadził gościa do pokoi młodego pana.

Przybyły znalazł je, jak mu opisywano, przesadnie skromnymi, bez najmniejszego przepychu urządzonemi — ale z wielkim smakiem i prostotą wdzięczną, a książek i papierów, obrazów i albu-

mów zdało mu się nadto, choć do tego był przygotowany.

Hrabia August witał uprzejmie i bez najmniejszego śladu urazy jakiejś w twarzy rozpozgodzonej.

Powód przybycia był dlań łatwym do odgadnięcia, bo wiedział z dzienników, co się zapowiadało i najmocniej zaprzętało umysły.

Hr. Zenio miał też na sercu, ażeby się nie wydawać natrętnym gościem, i natychmiast o interesie napomknął.

— Słyszałem o nim — odezwał się August — ale nie zupełnie sobie mogę zdać sprawę i z celu i ze środków...

— Cała prowincya w tem uczestniczy — rzekł z zapalem Zenio — wszyscyśmy uznali niezmierną instytucyi potrzebę — mamy nadzieję, że hrabia od nas nie zechcesz się odłączyć.

— Radbym zawsze do wspólnego się dzieła przyczynić — odpowiedział grzecznie gospodarz — lecz mam za правило brać tylko udział w tych sprawach, które z zasadami memi i przekonaniami są zgodne. Zatem muszę się wprzód obeznać z programem i szczegółami wykonania...

Zenio był przygotowany do tego, dobył spiesznie papiery i z równym pośpiechem począł wykladać cel stowarzyszenia, środki do osiągnięcia go i t. p.

August słuchał długo, nie przerywając, i Zeniowi zdawało się pewnie, że musiał być bardzo przekonywającym; gdy hrabia zaczął z chłodną krwią, po jednym rozbierać wszystkie artykuły, silne przeciwko nim czyniąc zarzuty. Plan według niego chybiał tem głównie, iż chciał się wyłącznie na jednej klasie społeczeństwa opierać, jednej służyć, wyłączając inne...

Zenio tłumaczył to potrzebą dzwignięcia tej klasy, która inteligencją i tradycje narodowe reprezentowała. Gospodarz uznawał potrzebę, lecz chciał właśnie związania społeczeństwa z pomocą instytucji i dowodził, że wszelkie wyłączenie się i odosobnianie klas, warstw, jest zgubnem, że istnienie ich tam się tylko usprawiedliwia, gdzie organizm jest pełny i wszystkie jego części życiem normalnem żyją.

Sporu z hr. Augustem w tym przedmiocie Zenio o własnych siłach nie mógł prowadzić, splątał się i musiał uciec do sentymentów, do wspomnień przeszłości, jednym słowem do pięknej poezji, na której tylko utwory imaginacji się budują.

Cudem nawet przypominał sobie jakąś cytate Mickiewicza, którą słyszał niedawno i powtórzył przekreśloną.

Nie uczyniło to wrażenia na hr. Augustcie.

Sprawa społeczno-ekonomiczna według niego musiała się opierać na innych podstawach.

— Z chęcią — rzekł — poświęciłbym bardzo znaczny kapitał, gdyby myśl odpowiadała mojemu przekonaniu a ludzie, co ją wykonywać będą, budzili we mnie zaufanie.

Zenio straszliwie się zburzył, usłyszawszy o zaufaniu, protestował.

Ludzie byli uczciwi! nieposzlakowani!

— Panie hrabio, — odparł August — mam najzupełniejsze zaufanie w charakterach — ale nie w zdolnościach.

Gdzie idzie o rzecz publiczną, mało u nas jest przykładów zepsucia i złej wiary, są one rzadkie — ale tysiąc widzimy nad siły chwyconych brzemion, które sobą śmiazków, co je biorą, przyniotły. Nie dość chcieć, trzeba umieć. Nauka nie przychodzi z łaski Bożej; aby umieć, uczyć się potrzeba — tego my nie chcemy. Zasadtośmy leniwi. Każdy gotów jest się porwać do wszystkiego...

Strata pieniędzy jest stosunkowo najmniejszą — ale tracimy poszanowanie u ludzi, wiarę u nich, i w oczach obcych podpisujemy świadectwa ubóstwa naszego.

Wolę więc nie nie robić, jak porwać się na to, do czego sił braknie...

Prawda wypowiedziana była tak otwarcie — a na stwierdzenie jej tyle miał przykładów hr. August, że Zenio znalazł się w kłopotcie.

Zdawało mu się, że inaczej jak udając obrażonego się nie wycofa i że hrabia przepraszać go będzie zmuszony, a dla zatarcia kapitał zaofiaruje.

Stało się inaczej. Hrabia dał się wyburzyć Zeniowi i z krwią zimną powrócił do pierwszego założenia. Rozbierał program, znajdował go chybionym, określił inny a tego Zenio i jego przyjaciele nie byliby za nic przyjęli, bo wymagał połączenia ludzi i sił, przez nich uważanych za wrogie.

Tak wiele czasu upłynęło na tych rozprawach, iż do stołu podano; obrażony gość, zrazu nie chciał przyjąć zaproszenia, ale gospodarz po polsku umiał być nalegającym i grzecznym, i w końcu dał się uprosić.

Hrabina już na nich czekała w salonie, a Zenio, widząc ją po raz pierwszy, znalazł nad wszelkie przewidywanie tak wielką panią, tak dystygowaną damę, iż zmuszonym był wcale inne o tej dawnej szlachcianeczce powziąć wyobrażenie...

Przy obiedzie mówiono już tylko o potocznych, obojętnych sprawach.

Zenio, który większą część życia spędzał na pustej rozmowie salonowej i wprawę w niej miał niepospolitą, mógł się tu okazać w całym blasku. Mówił z łatwością, zręcznie, wesoło, zajmująco o niczem, bawił wyśmienicie, ożywiał towarzystwo i sam czując, jak mu się to szczęśliwie wiodło — wrócił do dobrego humoru, który był utracił.

Znawca w rzeczach stołu i jada, nawykły również do dobrego wina, znalazł kucharza hrabiego klasycznym (tak się wyrażał) — piwnicę znakomitą. Nie było w niczem ani zbytku ani wyszukania, ale to, co podawano, było starannie zdrowo i smacznie zrobione. Kuchnia miała charakter staropolski, umiarkowany. Wybredny panek, słysząc o skąpstwie, i takiej się nie spodziewał — obiad był dlań wcale przyjemną niespodzianką i przyłożył się także do obudzenia lepszej myśli.

Ponieważ cygar nie palono w salonie hrabiny, po czarnej kawie przeszli panowie do bocznego pokoju, gdzie Zenio pod wpływem obiadowych wrażeń spodziewał się, podniósłszy znów kwestję stowarzyszenia, wymódzi na hrabi nie tak ostro obwarunkowane współczestnictwo.

Był w werwie i dla pospolitych ludzi to, co gorąco i serdecznie umiał przedstawić, starczyłoby do pociągnięcia ich za sobą. Hrabia słuchał z zajęciem, nśmiechał się, lecz gdy zarumieniony, rozweselony, prawie pewien tryumfu Zenio zwrócił się doń, oczekując ostatecznego wyroku, August ścisnął dłoń jego z równie wesolą twarzą i rzekł:

— Szanowny hrabio, jesteś wymownym rzecznikiem sprawy, która ci się zdaje dobrą — ale ja — jestem nieznośnie uparty... Zachwycony świetną wymową, niestety — przekonany nie jestem!...

Zenio ostygł nagle, wyczerpał już wszystkie argumenta.

— W sprawie publicznej takiej doniosłości — mówił hrabia August — lekkomyślnie postąpić się nie godzi. Nie mogę uczynić ofiary nie uczuwszy silnie pobudki do złożenia jej.

Zenio, któremu zdawało się, że hrabia może mieć ochotę do stawania na czele i kierowania instytucją, — a był przekonany, iż tam większość głosów będzie miał przeciw sobie jako hamulec — odważył się półgłosem wniesć — iż Augustowi ofiarowanoby prezydencją przez samą wdzięczność za tak znaczną pomoc... jakiej żądano od niego.

Cofnął się aż gospodarz, usłyszawszy to, nagle ostygły i prawie urażony:

— Szanowny hrabio — zawołał — w żadnym razie nie przyjąłbym ciężaru nad siły moje...

Wyraz z jakim to wyrzekł — dawał się domyślać, iż był dotknięty.

W bardzo pochlebnych słowach Zenio starał się usprawiedliwić... ale wszystko, co mówił, nie trafiało do przekonania zimnego Augusta, który pochlebnych wspomnień o zasługach swej rodziny itp. słuchał nader obojętnie.

Ostatecznie wszystko się rozbiło o niewzruszone zasady, które hrabia gospodarz raz jeszcze powtórzył.

— Im bardziej się pozornie w interesie bytu naszego jako szlachta odosobniamy, tem mocniej

dowodzimy, żeśmy w upadku i że posłannictwa naszego nierozumiemy. Byliśmy główną częścią składową społeczeństwa, w żywym z nią stosunku — narzędziem organizmu — i tem pozostać musimy, albo jako jakiś odcięty preparat w słoju anatomicznym przechować się w wari. Wyłączając się podpisujemy na siebie wyrok śmierci; uwydatniamy się na chwilę, podnosim pozornie, ale przygotowujemy sobie śmierć. Chcecie być czynnymi, dobrze, ale w koło czynności naszych wyciągnijmy wszystkie klasy, wszystkie organy członki. Nas i duchowieństwa do stanowienia społeczeństwa i narodu za mało — potrzebujemy klasy pośredniej i ludu, żywiołów, z których każda zdrowa całość się składa. Nie odpychajmy ich, ale pociągajmy ku sobie. Niech żywe życia soki przebiegają to ciało.

Zenio już się tylko krzywił. teoria ta nie przypadała mu do smaku. Rozumiał tylko szlachę jako naród kateksochen a resztę jako podrzędny materiał, który samowiedzy swoich czynności mieć nie był powinien. Dla niego granice klas murem stały, gdy hrabia August rozumiał po angielsku, iż metamorfoza stanów pod ożywcem słońcem cywilizacji była normalnego bytu warunkiem.

Nieprzejezdne różnice zasad ich dzieliły — a znaleźć je u takiego pana z panów szanowny Zenio wcale się nie spodziewał. Domyślał się pe-

wnych zboczeń. nie przypuszczał zupełnego rozbratu.

— Panie hrabio — rzekł w końcu. chmurząc się — byłoby dla nas prawdziwem nieszczęściem, gdybyś. odmawiając nam współuczestnictwa w naszej sprawie, stanął jeszcze jawnie przeciw nam.

Nie chciałem wspominać o tem, ale zdaje mi się, że nasi przeciwnicy z kilku dezterterami, którzy nas dla popularności i przewodzenia gdzieindziej — opuścili — zamierzają stawieć ołtarz przeciw ołtarzowi i chęć instytucją, pewną analogią mającą z naszą, w życie wprowadzić na zasadach bliskich tym. jakie hrabia wypowiadasz. Jużciż im nie podasz ręki?

— Dla czego? — zapytał hrabia.

Zenio zaniemiał.

— Ale ci ludzie — ci ludzie!! — zawołał po chwili.

— Kwestya nie o ludzi jest. ale o zasady — odezwał się August. — Jeżeli się na nie zgodzimy.

— Tam nie ma dobrej wiary!

— Nie mam prawa posądzać o brak jej nikogo...

— A zatem hrabia byś mógł! — zawołał gorąco Zenio...

Drżał cały z oburzenia — August łagodnie ręką ujął dłoń jego i starał się uspokoić.

— W sprawach rozumu i rachuby nie trzeba się roznamiętniać... *Salus publica lex suprema!* Ja w tem widzę dobro powszechne i choćbym trochę mej dumy miał poświęcić...

— Z takimskim się na jednej ławie... na równi... i... Zenio się unosił.

— Miejsce na ławie obok uczciwego człowieka, ktoby on kolwiek był, mnie ani panu hrabiemu uwłaczać nie może.

Nie było sposobu ciągnąć dalej, Zenio szukał kapelusza, usiłując choć na pozór się uspokoić. Gospodarz łagodził jak mógł wrażenie, nie chcąc go tak rozdrażnionego puścić z domu. Nie mógł jednak poświęcić przekonań i ilekroć dochodziło do nich, zamykał się w sobie z niemym uporem człowieka, który do ustępstw nie jest nawykły.

— Pozostaje mi — rzekł w końcu Zenio, nakładając rękawiczkę i szarpiąc ją nielitosciwie — przeprosić pana hrabiego za moją napasę, za najazd, za natręctwo niestety...

— Ja hrabiemu wdzięczny jestem owszem, żeś był laskaw nie zapomnieć o mnie — odparł August, a wzajem sobie za złe mieć nie możemy przekonań różnych, które są godne poszanowania jak tylko szczere. Każdy z nas tak służy społeczeństwu, jak umie, a hrabiego gorliwość i poświęcenie dla mnie będzie bodźcem i przykładem.

Skończyło się na grzecznościach wzajemnych, ale Zenio siadł do powozu kwaśny jak ocet, zły,

gniewny, oburzony, a im dalej odjeżdżał od gan-ku — tem mocniej się rozsierdzał.

Miał jednak czas, rzuciwszy okiem w dziedziniec, spostrzedz, iż właśnie w chwili, gdy go opuszczał, pani Szamotulska przybywała... I to nie podobало mu się.

— Moralista! purytanin! zawołał w duchu... jużciż z nią się nie ożeni, bo to za mała rybka dla takiego magnata, którego dochody na miliony się liczą — ale romansik wygodny poprowadzić, a potem panienkę wydać za kogo cicho! sza!! — jest w starych tradycjach tych senatorskich dzieci!!

Zenio pod wpływem złego humoru o mało nie zawadził o demokratyczne zasady... Wczas się spostrzegł i nakazał sobie milczenie.

Miał też do myślenia sporo, bo musiał ze swego posłannictwa się wytłumaczyć przed swoimi, a potrzeba było rzecz tak przedstawić, aby porażka zyskała mu nowe laury, podniosła go, hrabiego zaś zgruchotała.

Przez ciąg drogi do miasta, kilka mil tęgich, wygodną szosą jadąc rozparty w powoziku swym, miał czas Zenio ułożyć sobie program, artystycznie wykończyć swe zdanie sprawy — pewne efekta nawet dowcipnie w niem umieścić.

Pomimo to — klęska była klęską!! odprawa odprawą — upokorzenie, jakiego doznał, dawało się zamałować, ale nie zatrzeć...

W tej jedynej restauracyi. w której wszystkie narady odbywać się zwykły — główni wódzowie czekali przy kartach na posła; przygotowano nawet wieczerzę i wybierano się przy niej spełnić kielich za jego zdrowie. nie wątpiąc, że Zenio — ten Zenio!! musi wyjść zwycięzko i przywiezie podpis hrabiego!!

Jeden książę Edzio od początku chciał się zakładać o to, iż Zenio nie potrafi przełamać uporu i oziębłości na rzecz publiczną hr. Augusta. Nienawidził go od pierwszego wejrzenia zazdrośną nienawistią małego człowieka, który się czuje upokorzonym charakterem i wyższością umysłową współzawodnika. Ile razy drzwi się otwały, oczy i głowy zwracały się na nie, Zenia nie było. Zamiast wprost zajechać do restauracyi, zawrócił do hotelu i tam dopiero spocząwszy, zebrawszy myśli leniwym krokiem skierował się ku oświeconym oknom gospody.

Wiedział, że tu nań oczekiwano. Wszedł z kapeluszem na głowie, z cygarem w ustach, posępny, a nadewszystko udając zmęczonego śmiertelnie, rzucił się na kanapę dysząc — i, gdy wszyscy otaczali go niecierpliwie, odgadując, co im przynosi — zawołał naprzód:

— Dajcie mi szklanekę herbaty! złamany jestem tą drogą!

W tych słowach już zła wróżba była, lecz wiadano, że Zenio często umyślnie kwaśnym się

pokazywał, gdy najlepszą przywoził wieść — dla większego wrażenia.

Książę stał na przedzie, badając go oczyma, uśmiechał się sarkastycznie i oglądał po drugich mówiąc im wzrokiem — a co? nie odgadłem? Toni, Bercik, Slawek i para jeszcze matadorów, spodziewająca się osobistych ze stowarzyszenia wygódek — czekała z ust posta wyroku. nie chcąc przypuścić, aby miał być wyrokiem zagłady... jeszcze nie narodzonej instytucji.

— No i cóż? i cóż? — zapytał wreszcie Toni — co przywozicie?

Zenio zwłóczył jeszcze, nie dając się przeniknąć.

— Jak sądzicie? — odezwał się.

— Kto sprawę powierzył takiemu jak wy obrońcy, ten nie przypuszcza, aby ją mógł przegrać! — rzekł emfaticznie jeden z matadorów.

Zenio skłonił głowę dziękując, ale usta mu się skrzywiły.

— Jesteśmy pobici na wszystkich punktach; sprawa przegrana! — zawołał z uniesieniem. — Tak, panowie moi! Nie znaliśmy tego człowieka, którego doktryny wieku zjadły do gruntu, w którym nie pozostało już nic z tego, co dawniej magnatów naszych na wodzów namaszczało... Umysł mały, pojęcie ciasne...

Chce właśnie tego, przeciwko czemu my walczymy! Nie dosyc, że z nami iść odmawia —

nie dosyć — gotów jest rękę podać tym, co chorągiew podnoszą przeciw naszej. Pan z panów... Woli być trybunem między tłumem niż jednym z wodzów między nami!!

Wszyscy słuchali w milczeniu głuchem — smutnem, prawie nie wierząc uszom...

— Nie wierzycie! — dodał Zenio — daję słowo, że tak jest! Łudzić się nie możemy, nie powinniśmy... Wrogiem jest.

— Anathema! — krzyknął Toni podnosząc rękę — mam tego za cztery litery, kto mu dłoń poda. Panowie! siadajmy do wista, szkoda czas tracić!

— Anathema sit! — powtórzono do koła — Anathema...

Wtem dano znać, że wieczerza była gotową i wszyscy głośno wykrzykując, poszli zająć miejsca u stołu...

Kilka miesięcy upłynęło od owej wieczerzy pamiętnej, przy której hr. Augusta wyklęto i wyłączone ze społeczeństwa.

Hrabianka Berta złotowłosa z rodzicami bawiła w Castellamare... Mówiono, że jakiś książę włoski starał się o nią. Zmieniona bardzo, była jeszcze dosyć piękną i dość bogatą, aby świetnem zamażpójściem pomścić się na hr. Auguście za to, iż jej śliczną, malutką rączkę odrzucił.

Dla hr. Wita żaden książę nawet nie mógł zastąpić tego człowieka, którego imię byłoby na

wieki zatarło dorobkowiczowskie familii wspomnienia i mglistą jej przeszłość.

Nie była to już ta Berta półdziecinna, trzpiotowata, z paczka dopiero rozkwitająca, ale poważna, smutna panienka, której po krótkiej chorobie nawet wzrostu przybyło... Inna, nie mniej teraz była piękną, choć chmurka melancholii przyćmiewała jej lice.

Matka posądzała ją, że się w nim kocha jeszcze, choć piękna Berta miała co najwięcej kaprys, pragnienie niemożliwego zwycięstwa i okrutną boleść, iż, wierząc w swą potęgę — skruszoną ją ujrzała.

Hr. Augusta nikt odtąd ani do żadnej wspólnej pracy nie wzywał, ani go liczono do wielkiego zastępu paladynów, walczących (jak się im zda wało) dla świętej sprawy. — Rozbratu ostatecznego dokonał fakt, iż hr. August w owem stowarzyszeniu, któremu przypisywano nieprzyjazne zamiary, zajął pewne stanowisko i przeważnie podparł je kapitałem, którego potrzebowało. Instytucya projektowana, której Zenio wybierał się być jednym z prezydentów, rozbiła się mimo największych, nadludzkich wysiłków tych, którym miłość własna na swoim postawić kazała — o brak funduszków.

Podpisywali się wszyscy, lecz gdy przyszło składać, okazały się takie trudności, nadeszła taka ogólna kryzys finansowa, że na papierze się skończyło wszystko. Matadory, mający na widoku

pożywienie się około pracy dla dobra publicznego, ostygły bardzo, widząc, że chodzić około czego nie było.

Upadek instytucji przypisano jednak cały hrabiemu Angustowi. Zrobiono go więcej niż jawnym wrogiem, przypisano mu intrygę, podejrzewano o podkopy... Toni do wszystkich kryminałów, jakimi obarczano nieszczęśliwego, dodawał najniegodziwsze postępowanie jego względem Witów i Berty.

Zupełnie inaczej jak była w rzeczywistości, wydawała się historia ta w ustach jego... Jawną zdradę mu przypisywał — on był przyczyną choroby, on ją o mało nie zabił, naprzód łdząc jakimś przywiązaniem, potem rznając nagle, gdy matka okazała się przeciwną.

Toni komponował całe rozmowy, malował rzecz obrazowo, a że pewne stosunki łączyły go z domem Witów, wierzono, iż co mówił, o tem wiedział z bardzo dobrego źródła.

Człowiek był niegodziwy, duma niesłychana, lekceważenie ludzi ohydne, głowa przy tem wywrócona... słowem... *cela n'a pas de nom!* kończył zawsze Toni.

Książę na swój sposób ale nie mniej zajadle i złośliwie toż samo opowiadał... W malaturze jego przemagała chytrość i fałsz...

Zenio ruszał ramionami i, na nowy wizerunek się nie zdobywając, tym, które kreślono, nie przeczył, rysów im po troszę dodając.

Zdała tylko widywano hr. Augusta, który nikogo nie unikał, ale też nie szukał nikogo.

Było to jakos ku jesieni, gdy Toni, przyjechawszy do miasteczka, dowiedział się w hotelu, w którym stanął, z wywieszonych nazwisk pederóżnych, iż obok siebie na piętrze miał stryjów dwóch hr. Augusta, mieszkających w Królestwie i bardzo rzadko zjawiających się w tych stronach, obu ich Toni miał przyjemność znać, gdyż jeden z nich namiętnie się kochał w koniach i należał do gwiazd sportu, drugi zaś, niestety, grywał w karty, co się i największemu panu trafić może.

Toni nie mógł odgadnąć, co tu robili w tej porze, i to oba, gdy ani żadne kursa zapowiedziane nie były, ani tak dalece grać tu nie było z kim, bo wszyscy gracze zgrani byli.

Pierwszą myślą Toniego było przypomnieć się dwom panom, lękał się wszakże zastać u nich hrabiego Augusta i, dopiero dobrze się upewniwszy, iż go tu nie ma a hrabiowie sami nazajutrz wybierają się do Augustówki, odważył się wtargnąć do nich.

Ci stryjowie stryjeczni hrabiego Augusta, noszący to samo sławne jego imię, wcale doń nie byli podobni. Jeden z nich znaczną część majątku przebiegał i przezakładał, drugi tyleż puścił w kar-

ty... Oba jednak jeszcze stali pańsko i liczyli się do bardzo możnych; oba byli ludzie najprzyjemniejsi w świecie i w salonach arystokratycznych Europy słynęli jako luminarze dowcipem, elegancją, wszystkimi przymiotami, wielkim rodom właściwymi.

W Anglii można ich było uznać za Anglików, we Francyi za Francuzów, na niemieckich dworach w większej części sfrancuziałych byli jak w domu, — a w domu tem się wydawali piękniej, iż domowego w sobie nie mieli i skorupę barbarzyńską całkiem z siebie zrzucili.

Dwaj przybyli siedzieli jeszcze u spóźnionego obiadu, sami jedni, gdy Toniego zameldowano. Chociaż z jednym z nich na konia niegdyś handlował, a z drugim grał raz przez dwie noce — hrabiowie przyjęciem zaraz okazali gościowi, iż ani nazwiska jego ani osoby zupełnie sobie nie przypominali.

Toni, zrozumiawszy to, bardzo zręcznie starał się dopomódz słabej ich pamięci — ale nie wiele to pomogło. Grzeczni byli jak wiecy panowie a zimni, jakby się lękali, żeby ten ktoś, którego nazwisko obco im brzmiało, nie był niebezpiecznym natrętem.

Zwolna jednak lodowate przyjęcie — znużonych drogą bardzo zręcznie prowadzoną rozmową zaczęło w poufalsze przechodzić tony.

— Cóż tu hrabiów do nas sprowadza? — zapytał w końcu Toni — bo panowie tu rzadkimi gośćmi.

— A! — odparł koniarz — prawdę rzekłszy, Gucio nam pisał o polowaniu u siebie, chwalił się prawie... Chcieliśmy też raz zobaczyć Augustówkę i przekonać się, jaki ma szczególny powab dla niego, — że się w niej zakopał.

— Należałoby go ztąd wyciągnąć — dodał drugi.

Toni z miną wielce znaczącą — milczał... Widocznie mówić o hr. Augustcie trudno mu przychodziło.

— Pan zna Gucia? — spytał koniarz.

— A tak! Miałem dawniej przyjemność spotykać go... — rzekł trochę skłopotany Toni. Odpowiedź zimna, dwuznaczna zrobiła wrażenie na hrabiach, którzy spojrzeli po sobie.

Zdawali się wahać, czy mają się rozpytywać dalej, ale przyczyna tego chłodu, z jakim Toni dał im odpowiedź, obudzała ciekawość.

— Hrabia August — dodał po dość długiem milczeniu Toni — żyje tak odosobniony, zwłaszcza od niejakiogo czasu — że my wszyscy w ogóle mało go bardzo mamy szczęście widywać.

— Gucio jest trochę oryginał — rzekł koniarz — był takim zawsze. Ma gusta inne, świata nie lubi, ale przecież z kimś żyć musi.

Toni głową pokręcił.

— Prawie z nikim — rzekł. — W początkach szło to nieco lepiej, mieliśmy nadzieję bliższych stosunków. Później, nie wiem... jakieś nieporozumienie...

Nie dokończył zapytany i urwał nagle. Hrabowie spoglądali po sobie znacząco, a karciarz, który był otwartzego charakteru, zawołał:

— Nie żenujże bo się — mów nam pan otwarcie. My naszego Gucia dobrze znamy, umiemy go cenić, ale i wady nie są dla nas tajemnicą. Cóż? popstrykał się! Ale to ciekawa historia, bądź nas pan łaskaw objaśnić.

Toni wasa pokręcił i głowę nieco w ramiona weisnął.

— Delikatna materya! — szepnął — Ja osobiście mało w tych sprawach miałem udziału, co wiem, to od ludzi, którzy są zażalen. Zatem różne pogłoski chodziły... i...

— Ale, otwarcie! prosimy! — dodał uderzając go po kolanie karciarz. — Mów pan, to od nas nie wyjdzie. Dobrze jest, byśmy jadać do niego, wiedzieli, jak tu stoi — to się na coś przydać może.

— W istocie bo — wtrącił Toni — trudno oznaczyć nawet, w jaki sposób do tego nieporozumienia przyszło. Głównie, jak mi się zdaje, przyczyniła się do tego projektowana tu instytucya, stowarzyszenie mające ekonomiczne i społeczne

zadanie, ważne dla kraju, do którego hr. August przyczynić się nie chciał. Tem zraził od siebie!

Hrabia koniarz zaczął się śmiać.

— Zlituj się pan! — zawołał — żeby do jakiego stowarzyszenia, mającego cel publiczny, nie chciał należeć! On! to coś niepojętego. Ale on właśnie choruje na to, że niepotrzebnie ogromne sumy wyrzuca na te bałamuctwa! My mu to właśnie do zarzucenia mamy!

— Tą razą jednak z nami być nie chciał a podał rękę przeciwnikom naszym.

— A! a! tak! odparł karciarz. To rozumiem. — Zapachła mu pewnie jakaś postępową idea! Utopista! utopista! To się tłumaczy!! Ale jakże to było?

Toni już wciągnięty, przekonawszy się, że hrabiowie wcale strony obżałowanego brać nie myśleli, zaczął szeroko i długo rozpowiadać o programie, który spełził na niczem. Napomknął też ale z dyskrecją wielką o pięknej Bercie złotowłosej.

W tej jednak części opowiadania swego umiarkowanym był i nie obwinał hrabiego, dając do zrozumienia, że prawdopodobnie jakieś inne matrymonialne projekta były powodem zerwania z piękną Bertą.

Z wielką ciekawością słuchali oba hrabiowie, lecz gdy przyszło do powieści o Bercie, zamknęli usta i ostygli.

Toni spostrzegłszy, iż za daleko się puścił, ostrożnie i uniewinniając, łagodząc. tłumacząc... rzecz swą zakończył.

Znowu widać było między słuchaczami kilkakroć przelatujące wejrzenia jakieś.

— Prawdę rzekłszy — odezwał się koniarz, — Gucio nas listami zaprosił, abysmy go odwiedzili, obiecując nam polowanie, ale... Z tego, co pan mówisz, ledwieby nie można posądzać go, że zaprosił nas w innym celu. Chce się może narażać o swem położeniu i stosunkach.

— Bardzo być może — potwierdził drugi — i mnie to tak wygląda.

Odwrócił się do Toniogo.

— Jakże pan znajdujesz, możnaby polatać tę sprawę i przywrócić Guciovi dobre porozumienie ze współobywatelami? Wiem, że Augustówkę cichą lubi a pobyt w niej może się stać nieznośnym, jeśli potrwa taki ostracyzm.

Toni, który przewidywał, że może odegrać pewną rolę, ale sam na siebie odpowiedzialności całej brać nie chciał, odparł po namyśle:

— Wie hrabia co? Zdaje mi się, że byłaby to wielka dla stron obu przysługa, gdyby lepsze, poufalsze stosunki przywrócić się dały. Ale ja — cóż ja? Sam przez się nie mam tej powagi, jakiej tu potrzeba. Hr. Zenia, nie wiem, czy panowie znają.

— Ale! jakżeż! — zawołali oba. — Zmiłuj się, kto go nie zna? Tego, co go prezesem zowią?

— Zamiast tu siedzieć wieczorem, dodał Toni, gdybyśmy się przeszli tylko przez kawałek ulicy i rynek do restauracyi na doskonałą herbatę? Zenio tam jest, grają wista z księciem Edziem i Bercikiem...

Oba hrabiowie wstali niezmiernie radzi, że się w hotelu siedząc nudzić nie będą.

— Chodźmy!

Toni prowadził, rad z siebie...

W osobnym pokoju siedział Zenio w istocie, w mnusztuczku ze trzciny paląc doskonale cygaro... rozpięty i bez chustki.

Wejście dwóch hrabiów, dawno tu nie widzianych, sprawiło mu nie małą sensacyą. Wstali wszyscy, witając ich wielce uprzejmie.

Tknęło może kogo, iż mogli być wezwani na połatanie stosunków z dziełzicem majoratu.

Oba ci panowie, choć majątkowo i położeniem w społeczeństwie stali daleko niżej od hr. Augusta, choć umysłowo i moralnie nie dorastali go — przymiotami cenionemi u nas w towarzystwie daleko go prześcigali. Jeden z nich, namiętny gracz już przez to samo był popularnym, że nie patrzył nigdy, z kim siadał do stolika; drugi jako członek europejskiego sportu w domu też używał wielkiej sławy. Chlubiono się nim.

Zresztą byli to ludzie — widni — głośni, wpływowi w sferze swojej, bardzo wyłączonej ale wysokiej.

Witano ich z pewnem uszanowaniem, ale jako — swoich — jako wypróbowanych i należących do bractwa...

Z początku naturalnie rozmowa była obojętna, spytani o powód przybycia, powiedzieli, iż jadą Gucia odwiedzić i może zapożycować u niego.

— Ale — rzekł zaraz koniarz... wcale niepokojące nas tu doszły wieści o Guciu. — Chcielibyśmy się objasnić? Gucio się naraził?

Zenio zrobił minę wielce znaczącą, książę zagryzł wargi i cofnął się kilka kroków, inni milczeli, Toni dawał znaki, aby mówiono otwarcie.

Wejrzenia się zbiegły do Zenia, wzywano go, by za drugich się odezwał. Hrabia już się też do wystąpienia przygotowywał.

— My nie mamy sobie do wyrzucenia, rzekł, ażebyśmy chłodno przyjęli potomka tak wielkiego rodu i dziedzica tak pięknego imienia. Witaliśmy go otwartemi rękami i sercami... chcieliśmy w nim mieć podporę i wodza! Niestety, znaleźliśmy... nieprzyjaciela.

— Kochany hrabio — rozsmiał się koniarz. — Idziesz za daleko. Nieprzyjacielem być nie może, *mais il fait toujours à sa tête...* Uparciuch jest! tak! tak! Ale serce złote! wierz mi, to się polata!

— Tak! tak, potwierdził drugi.

— Mówcie o co idzie!

Zenio rad był, że się mógł z wymową popisać i zajaśnić jako obrońca zdrowych zasad. Puścił się więc w dosyć zagmatwany wykład potrzeb społeczeństwa, środków zaspokojenia ich, programu stowarzyszenia, który w obu hrabiach znalazł gorących popleczników.

Widząc się tak dobrze zrozumianym, ożywił się i z goryczą zaczął robić wyrzuty hrabiemu Augustowi, który tak fałszywie pojmował swe obowiązki itd. itd.

— Widzę, rzekł starszy z hrabiów — że się to zajętrzyło bardzo i że w czas przybywamy. Szczęśliwie się trafiło, żeśmy po drodze mogli o prawdziwym stanie rzeczy być uwiadomieni... Guccio da się skłonić do zgody... zobaczycie panowie... i wszystko będzie dobrze.

Karciarz widząc stolik, przysiadł się do niego, zaproponowano grę małą, wieczór zszedł najprzyjemniej.

Serca i usta otworzyły się, książę nawet milczenie przerwał, — hrabiowie dowiedzieli się mnóstwo szczegółów...

— Gdyby hr. August miał tę znajomość świata i ten polor a takt, co jego stryjowie — mówił Zenio — wesoło — nigdyby do tego nie przyszło... Ale na nim znać wychowanie wielce szaco-

wnej, zacnej matrony, która jednak z domu tradycji nie wyniosła, bo ich tam nie było...

Hrabiowie potakiwali milczeniem.

Gdy późno w noc przyszło się rozstawać po skończonej grze i wieczerzy z szampanem, bardzo wesołej, humory były doskonałe i nadzieje wielkie, że przecież, stryjowie na dobrą drogę naprowadzą synowca a stowarzyszenie, poparte przez niego — świetnie się ukonstytuuje...

Toni, któremu było po drodze, odprowadzał gości aż do wrót hotelu.

Nazajutrz rano wyjechać mieli do Augustówki. Toni zdziwiony postrzegł, że tu już na hrabiów czekał strzelec konny, wysłany naprzeciw nich, który miał im drogę wskazać. Byli więc zaproszeni na dzień naznaczony...

Co między sobą, wróciwszy do mieszkania, mówili ci panowie i jak się naradzili w drodze — nie wiemy. Już było z południa, gdy do Augustówki dojeżdżając, na grobli do niej prowadzącej spostrzegli jeźdźca, w którym gospodarza poznali. Wysiedli więc z powozu stryjowie, z konia zsiadł hr. August — po serdecznem przywitaniu, odprawiawszy przodem konie, szli pieszo, bo dzień był bardzo piękny.

Hr. Augusta znaleźli bardzo ożywionym i wesołym, zdawał się im odmłodzonym... szczęśliwym, i owe nieporozumienie obywatelskie, którego ślad spodziewali się dostrzedz na twarzy i

w usposobieniu synowca — najmniejszego nie zdało się mieć wpływu... Było jakby zapomnianem.

Ponieważ służba cała z powozem i końmi odeszła ku dworowi, zostali więc na przechadzce tej sami i mogli mówić otwarcie.

— Muszę stryjów przeprosić — odezwał się po pierwszych zamienionych kilku słowach August. — Gotuję im małą niespodziankę!

Zdumiali się trochę oba panowie.

— Nie wiedzieliście, że jedziecie na wesele — dodał, śmiejąc się, — ale chciałem. aby ono do ostatniej chwili było dla ludzi tajemnicą...

Stryjowie pobledli nieco.

— Małżeństwo jest ze wszech miar przyzwoite — dodał. — Panna wychowana starannie, skromna i zacna, miałem czas dobrze ją poznać i matkę. Imię stare szlacheckie a niegdyś pańskie.

— Jakto? żenisz się z Szamotulską? — podchwycił karciarz.

— A zkadże to nazwisko wiedzieć możecie? — zapytał August.

— Słyszeliśmy je już — rzekł drugi poważnie. — Naturalnie, jeżeli wybór jest już nieodwołalny, uie nam nie pozostaje prócz powinszować ci go — ale —

— Nie ma ale! żadnego ale — przerwał August. — Jest to wybór zarazem serca i rozsądku...

Jako najlepszy dowód zacności mej przyszej, powiem wam to, że na klęczkach błagać ją i mat-

kę musiałem, aby się na małżeństwo zgodziły. Panna wyznała mi, że mnie kocha, a lękała się, aby ją nie posądzano o interesowność...

Hrabiowie się uśmiechali, karciarz pomyślał, że komedia była dobrze odegrana. August na wrażenie nie wiele zważał, tak go szczęście własne obojętnym robiło na wszystko.

Mówił sam więcej niż stryjowie, którzy pół słówkami tylko się odzywali. Oznajmił im, że ślub miał się w wiejskim kościółku odbyć bardzo prywatnie, że wesela i gości nie chcieli oboje. ani też myśleli przedsiębrać podróży modnej po ślubie, którą za profanacją najszcześniejszych chwil życia wspólnego uważali.

Dawał im tylko dwa dni z teraźniejszym spoczynku, spodziewając się, że nazajutrz zechcą z nim odwiedzić jego narzeczoną. Wszystko to tak jakoś przychodziło niespodzianie, gromowo, szybko, że hrabiowie, przybici przyjsć do siebie nie mogli z podziwienia.

Lecz — sprzeciwiać się, chcieć odwieść synowca ani mogli ani za dobre uważali. Sposepnili oba, na co August nie zważał bardzo, bo się tego trochę spodziewał i był na gorsze nawet przygotowany.

Hrabina matka przyjęła przybywających z oznakami jak najgorętszej uprzejmości. Oba byli nadto ludźmi wielkiego świata, do którego najgłówniejszych obowiązków zalicza się umieć ukry-

wać, co się czuje, i jasnem obliczem przyjmować nieuniknione, by nie zastósowali się do okoliczności.

Czuli się złapanymi, bo — któż wie — czy wcześniej zawiadomieni o małżeństwie, które w ich przekonaniu mezaliansem było — nie byliby grzecznie uchyłili się od asystowania przy niem ..

Obiad, rozmowa — wpływ hrabinej matki, weselość Augusta rozprószyły chmur trochę.

Na chwilę pozostawszy sami, hrabiowie spojrzeli sobie w oczy.

— A cóż? ładnie? — spytał karciarz.

— *Allons donc!* — odparł starszy — co jest, to musi być ładnem! *Fai sons bonne mine!* Nie może być inaczej..

Hasło było dane.

Myśleli, co chcieli panowie stryjowie, lecz od tej chwili postanowili wszystko admiringować i być tem, co się miało stać, uszczęśliwieni.

Późno wieczór po wieczerzy, gdy we trzech zostali w pokojach, do których ich odprowadził hr. August — śnielszy, starszy ze stryjów odważył się zdala napomknąć, iż coś słyszał o nieporozumieniu jakimś, o zerwaniu stosunków i zapytał, coby to było.

Hr. August uśmiechnął się.

— Miałem sam mówić o tem — rzekł spokojnie. — Dla utrzymania dobrych w świecie

stosunków uczciwy człowiek nie poświęca przekonania swoich.

Ci panowie, którzy mi dziś są nieprzyjaźni, żądali współuczestnictwa w pracy, w której ja ani w cel ani skuteczność nie mam wiary. Powiedziałem im to otwarcie i...

Drugi ze stryjów począł kazanie o potrzebie jedności, zgody, o zachowaniu rodziwie i imieniu należnego stanowiska itp.

August uściśkał go.

— Kochany stryju — rzekł — to sprawa moja. Wierze mi, gdyby możliwem było ustąpić, zrobiłbym to dla was — uie mogę, bo mi nie pozwala sumienie...

Nie szło tu wcale o pieniądź, bo tenbym dla milego spokoju wyrzucił, ale ofiara z niego miałaby znaczenie adhezyi, potwierdzenia — a nie mogę pozwolić, aby posądzenie takie było na mnie.

Historya zapisuje wszystko, uawet małe uczynki człowieka, a my należym do tych rodzin, których dzieje milczeniem pokryte być nie mogą. Spelniam obowiązek. Słabość byłaby występkiem...

Stryjowie nie nalegali, chociaż ubolewali oba.

Starszy z nich miał w sekrecie przed bratem prośbę do Gucia o małą pożyczkę kilkudziesięciu tysięcy, młodszy chciał też, kryjąc się z tem przed koniarzem, wyrobić sobie małą pomoc u Augusta — nie wypadało więc się narażać mu —

i narażać go na wydatek dla jakiegoś tam stowarzyszenia.

Nazajutrz rano oba się tak wyrachowali — i umieli naprowadzić rozmowę, że synowiec domyslił się ich potrzeb i — z ochotą je przyrzekł zaspokoić.

— Widzisz, kochany stryju, — rzekł trochę żartobliwie — gdybym tę sumę dał im do tej spółki, któraby ją nieochybnie strwoniła, nie miałbym przyjemności ci nią służyć.

Ta uprzejmość synowca zjednała mu zupełnie ich serca. wzięli jego stronę we wszystkim, śmiano się z Zenia i Toniego, nawet z księcia... W Szelchowie po południu znaleziono wszystko jak najpiękniejszym, pannę niezmiernie miłą i tak naturalną! Matkę tak rozumną i poważną — dom tak dystygowanym!

Winszowano Augustowi, składano życzenia ze łzami w oczach.

Nawet ten cichy ślub w wiejskim kościółku, przy domownikach tylko, bez występu, skromny — wydał się wielce oryginalnym, *très comme il faut*.

W wigilią już, po przyjeździe hrabiów, pomimo dosyć starannie zachowywanej dotąd tajemnicy, nie tylko cały powiat, sąsiedztwo, ale niemal prowincya cała wiedziała o małżeństwie. Zdumiewano się, latali posłańcy, listy, zapytania. Niektórzy wierzyć nie chcieli, inni utrzymywali, że od razu to przewidywali.

Wrażenie było ogromne.

Toni sarkastycznie, złośliwie ale smutnie się uśmiechał...

— Tak schodzą wielkie rodziny przez mezalianse — mówił. — Jeszcze jedna szlachciancezka a zobaczycie, w co się dom obróci... Co za porównanie do stryjów!!

Chociaż starał się hr. August zatrzymać swych gości, zaraz po weselu znajdowali przyzwyczajonem nie zakłócać mu dni miodowych i wyjechali trzeciego dnia.

W mieście zaledwie się zatrzymali na chwilę i już na dworcu kolei przypadkiem spotkał się z nimi Toni.

Był niezmiernie ciekawy.

Na rzucone pytanie odpowiedziano mu z taką gorącą sympatyą dla młodego małżeństwa, dla tego zacnego, kochanego Gucia, iż Toni od dalszego badania się powściągnął.

— Muszą się trzymać i bronić! — rzekł w duchu. — To darmo! Rodzina solidarną być powinna!!

Spytacie, czy koniec na tem?

Nie wiem. Może to być tylko początek... a mógłby być i

K O N I E C.

Styczeń. 1880.

Drezno.



Biblioteka Raczyńskich

JIK 613



JIK0613